Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

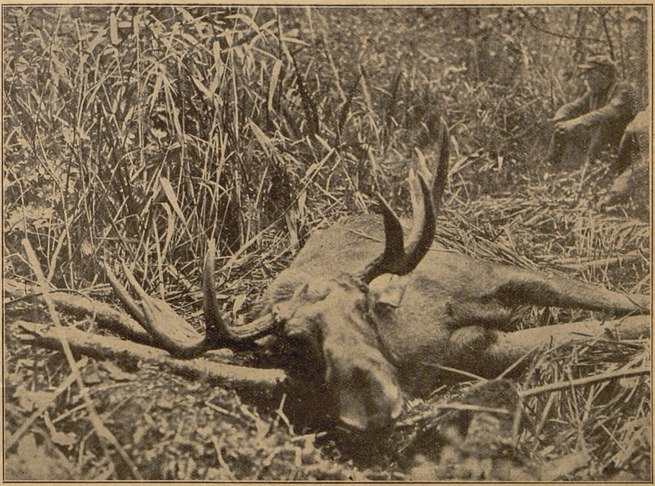
ŁOWIEC POLSKI



„Cziu... chszi..." z toków w Hołodnie, pow. postawskiego. Fotografja nagrodzona IV nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego" Fot. J. Bończa-Markowski

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 1 (738) 1 STYCZNIA 1934 R.



Łoś, ubity na rykowisku 1933 r. na Polesiu na terenach dóbr Goszczewo przez Maurycego hr. Potockiego.

TROFEA POLESKIE.

Zaiste piękną zdobyczą obdarzyła mnie ubiegłej jesieni ukochana poleska knieja. Piękne rosochy łosia i wieniec, niegorszy od niejednego w Karpatach zdobytego, zawisły na ścianie, dodając jeszcze jedno wspomnienie minionych dni.

Gdy patrzę na moje trofea, a czynię to niemal co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, wyznać sobie muszę, że bory i mokradła, na wschodniej naszej rubieży leżące, a potem dalej na wschód ciągnące się prawie że nieprzerwanem pasmem, to skarbnica niewyczerpana dla myśliwego. Czuję, że kto tak, jak ja, te przestrzenie poznał i w nie się zagłębił, ten serce swe raz na zawsze w ich niezgłębionej toni zaprzepaści, i choć innych w życiu nieraz spróbuje rozkoszy, zew rodzimej puszczy w spokoju nawet na śmiertelnem łożu go nie zostawi.

Niedźwiedź, łoś, ryś, wilk, głuszec, cietrzew, słonka i moc niezliczona ptactwa błotnego to mieszkańcy stali tych borów, że tak powiem, tubylcy od prawieków tam zamieszkali, z którymi od dzieciństwa stale się spotykam, lecz, gdy patrzałem na powalonego przezemnie tak pięknego byka-jelenia, zrozumiałem, że nietylko w Karpatach szukać należy tego wspaniałego wieńca, o którym marzy każdy myśliwy.

Jeleń mój nie jest rekordem, lecz daje rękojmię, że bogata w naturalną faunę poleska knieja potrafi wyhodować byka, przed którym ustąpić będą musiały niejedne wieńce, w Karpatach zdobyte.

Należy jedynie nikłą ilość jeleni, na kresach będących, otoczyć należytą opieką, prowadzić planowy odstrzał, a pewien jestem, że poleski myśliwy śmiało będzie mógł wtedy współzawodniczyć z tym, który szuka pięknego wieńca jedynie w Karpatach.

Chciałbym bardzo, by ci, co pamiętają przedwojenne czasy w Białowieży i posiadają jakieś konkretne dane co do wymiarów i wagi, lub fotografje kapi-



Jeleń poleski z nadl. Borki (tereny P. T. M.). Waga 7.90; wysokość 124 cm. w linji pow. 107 cm.; róże 26 cm.

talnych byków, które tam padły—zabrali w tej sprawie głos.

Gdyby jeleń rozmnożył się na Polesiu, lecz broń Boże nie w zbyt wielkiej ilości, czy możnaby marzyć o czemś piękniejszem, niż byłaby knieja, gdzie głuche stęknięcie łosia od czasu do czasu zagłuszałby królewski ryk jelenia.

Może ktoś mi zarzuci, że są to marzenia nieziszczalne, że jeleń wypłoszy łosia.

W wielkich ilościach bezsprzecznie, lecz sądzę, że tam, gdzie jeleń całkowicie nie opanuje kniei, łoś się go nie boi. Opieram się na przykładzie, wziętym z natury. W rewirze Borki, należącym do Poleskiego Tow. Myśliwskiego i liczącym około 10 000 ha, od czasu wojny stale trzyma się niewielka ilość jeleni. Od paru lat zaczęły pojawiać się tam łosie, obecnie w liczbie kilku sztuk trzymają się stale, a w roku bieżącym odbywały tam ruję.

Gdy słuchałem jeleni, które tej nocy się nie odezwały, strażnik, który słuchał w sąsiednim odemnie oddziale, słyszał wab łosia.



Miejsce, w którem padł łoś M. hr. Potockiego

Z powodu bardzo słabego rykowiska, które uniemożliwiło odstrzał podczas niego, postanowiłem w październiku urządzić ciche pędzenie. Wziąłem 10 ludzi, którym kazałem bardzo wolno, zatrzymując się co chwila, zupełnie cicho przejść przez kilometrowy oddział. Towarzysz mój, p. Z. i ja staliśmy na wekslach, a na obydwóch skrzydłach obserwatorzy. W pierwszem pędzeniu, które trwało blisko 2 godziny, widziano na skrzydle łoszę z młodym, jak spokojnie wyszła z oddziału.

W następnem pędzeniu stałem nad wyrąbaną kulisą szerokości jakichś 150 kroków.

Po 20 minutach oczekiwania daleko na lewo przez chwilę widziałem wolno posuwające się łosie. Wyszły one na mego towarzysza. Klempa szła pomału naprzód, za nią tuż posuwał się łoszak. Byk kroczył o kilkanaście kroków za niemi. Klempa podeszła na kilka kroków do stanowiska, poczem, spłoszywszy się, skoczyła kilka kroków i stanęła. Łoszę za nią. Byk skoczył wtył. Po chwili klempa, widząc, że nic się nie dzieje, wolno ruszyła naprzód. Byk zawrócił i również pomału przedefilował przed stanowiskiem zupełnie nie spłoszony.

Staliśmy dalej w oczekiwaniu. Minęła godzina. Nagle, podnosząc oczy, ujrzałem przed sobą jelenia. Stał przedemną na skraju gąszczu, zwolna oglądając się za siebie, poczem ruszył stępa ku mnie. Czekałem na meldowanego 18-taka, więc z żalem skonstatowałem, że posuwa się ku mnie 12-tak. Widziałem wieniec, jak na dłoni, z każdą chwilą wyraźniej i lepiej. Narazie byłem zdecydowany nie strzelać. Byk szedł prosto na mnie i, gdy doszedł na jakieś 20 kroków, zobaczyłem wielką grubość wieńca u dołu, oraz zrozumiałem, że jest niepomiernie wysoki. Trochę cienki u góry, jednak bezwątpienia należy do starego już byka, któremu należy się kula. Jeszcze chwila wahania: szkoda 18-taka, ale trudno, byk strzałowy—decyzja. Byk jest na 12 kroków, widzi mój ruch. Wiatr jest dobry, więc byk nie płoszy się gwałtownie, lecz widać, że jakby się zawahał — potem rusza ostrego kłusa — gąszcz przed nim już blisko. Przechodzi przez lukę między dwoma sągami, przez chwilę zakrywa mi go kupa gałęzi — biorę na cel — pada strzał. Byk nic nie pokazał, tym samym równym truchtem znikł w gąszczu. Wiem, że chybić nie mogłem, więc słucham. Słyszę po chwili głębokie, ostatnie jego westchnienie...

Kilka tygodni przedtem, w rewirze odległym o niespełna 40 kilometrów od Borek, danem mi było położyć łosia. Chciałbym choć w kilku słowach chwilę tą upamiętnić. Siedziałem wtedy na skraju „ostrówka", położonego śród mokrego, przeważnie olszowego lasu, gęsto wszelakim podrostem podszytego. O godz. 18 min. 20 zawabiliśmy po raz pierwszy. Po paru zawabieniach byk się odezwał. Zrazu głos jego był tak głuchy, gruby, urywany, że nawet do wabu łosia niepodobny. Jednak miarowe odezwania coraz wyraźniejsze upewniły mnie, że łoś idzie. Przebiegłem gorączkowo kilka kroków po suchym „ostrówku", szukając oczyma, gdzie stanąć. Przedemną, już w mokradle sterczy wysoki, gruby, omszały pień. Dookoła trochę otwartej przestrzeni, na prawo wąska luka długości trzydziestu kroków. Skinieniem ręki zatrzymuję wabiarza na „ostrówku" i dopadam pnia. Łosia już słychać wyraźnie. Wabiąc się miarowo, idzie wprost na mnie. Serce podchodzi pod gardło, a każde jego tętno zdaje się żyły rozsadzać. Chcę odetchnąć głęboko, by stłumić te drgania, — charkot jakiś drgający z gardła mi się wydobywa. Już słyszę plusk błota, lecz wab jest wciąż jednotonowy, gruby, do łosia niepodobny.

Aż oto wreszcie byk stanął przedemną. Widzę w gąszczu chwiejące się wierzchołki podszycia, targa je rosochami. Ruszył znowu. Wab teraz jest dwutonowy, słychać w zakończeniu to głębokie westchnienie, jakby dech z moczaru idący. Stanął tuż przed luką, na prawo odemnie. Już chyba jej nie minie. Wabiarz mój roztropnie milczy. Za kilka sekund wszystko się rozegra. Jestem już spokojny, choć chwili, gdy zwierz stoi o kilkanaście kroków, zakryty zupełnie gąszczem, niby murem, opisać się nie da.

Nagle w gąszczu tym nieprzejrzanym słychać plusk wody pod ciężką racicą, jednocześnie głuche stęknięcie raz... drugi... Ruszyły się zwoje podrostu, a z pod nich wynurza się łeb ogromny, czarny, na nim czerwieni się rosocha, wślad przewala się cielsko olbrzymie. Błysk decyzji — z rosochy na komorę — muszka sztućca zabłysła na czarnem tle, palec ścisnął cyngiel. W strzale byk ciężkim susem przerzuca się w galop. Strzelam raz drugi już w niknącą w gąszczach masę.

„Łoś zabity"—wołam, lecz ustać na nogach nie mogę. W paru susach wabiarz i podłowczy Pięta są przy mnie. Oparty o pień, ruszyć się z miejsca nie mogę... „Słuchajcie" — rzucam.

Słychać jeszcze ciężkie chlupanie w mokradle, trzaski łamanych drzew, potem plusk głośniejszy, trzask i charkot jakiś głuchy. Patrzę na zegarek — godz. 18,45.

Chwile niezapomniane — czy danem mi będzie je przeżyć raz jeszcze?!... MAURYCY POTOCKI.

Z okazji Nowego Roku 1934 przesyłamy wszystkim Prenumeratorom i Czytelnikom „Łowca Polskiego“ z głębi serca płynące życzenia: — Darz bór!

REDAKCJA.

JAN III U SCHYŁKU ŻYCIA.

Fragment większej pracy, drukowanej w „Łowcu" (1933) pod tytułem: „SOBIESCIANA".

Rok 1691 był świadkiem ostatniego wysiłku Jana III jako wodza.

Wbrew zdaniu wszystkich prawie senatorów, głuchy na zaklęcia królowej, Sobieski bierze udział osobisty w ostatniej ze swych kampanij mołdawskich. I gdy Marja Kazimiera w Jaworowie modli się za niego, on, konno, wraz z dwoma synami, maszeruje przy armji i przechodzi niesłychane trudy tej niefortunnej wyprawy, a zwłaszcza odwrotu w najokropniejszych warunkach atmosferycznych. Dość powiedzieć, że 60.000 koni miało paść wtedy z wysiłku i głodu, że wszystkie niemal wierzchowce poszły do taboru, a rycerstwo musiało przeważnie iść pieszo. „Król niejedną noc przespał ubrany w powozie", — mówi relacja posła brandenburskiego[1]).

Wyprawa ta była ostatnią wyprawą wojenną wielkiego króla.

Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, jak to utrzymywali niektórzy kronikarze, że Sobieski rozpoczął teraz życie bezczynne i zaszył się w domu, myśląc jedynie o pomnożeniu fortuny! Przeciwnie, nie zaniechał ruchu i spraw publicznych także nie wypuścił z ręki, aż do śmierci.

Choć znękany wiekiem, trudami i chorobą, zachowuje dziwną bystrość umysłu, a może jeszcze dziwniejszą sprawność fizyczną.

Przez cały prawie rok 1692 podróżuje po swych majętnościach, w grudniu zaś wyjeżdża na sejm do Grodna.

W roku następnym, chociaż „co chwila jest chory, to na podagrę, to na katar" — jak pisze w swych raportach wspomniany poseł brandenburski, — przecież często poluje.

O tych to polowaniach z owego roku znajdujemy zapiski w listach niejakiego Sarneckiego, na którego korespondencję zwróciłem uwagę gdzieindziej[2]).

Ów Sarnecki był długie lata w służbie siostrzeńca królewskiego, Karola Stanisława Radziwiłła i jako jego „rezydent" przebywał na dworze.

W listach i diarjuszach, pisanych dla Radziwiłła i przesyłanych do Białej, wspominał nieraz z drobiazgową dokładnością o najrozmaitszych zdarzeniach, notując zarazem wiele szczegółów z życia codziennego rodziny królewskiej, zwłaszcza z życia samego króla.

Pod datą 26 maja pisze Sarnecki:

„Król JMĆ zaraz po mszy na polowanie wyjachał i zjadszy polowy obiad, pomknął się dalej, za Marymont Królowej JMci[3]), tam polował, liszkę jedną uszczwał i dwóch zająców. JMć Pan Podskarbi nadworny koronny i JMć Pan Marszałek nadworny koronny[4]) dopomagali tej uciechy Królowi JMci".

Jak to bywało, po takim nadmiernym ruchu i zmęczeniu, król nazajutrz zapadł gorzej na zdrowiu, brał więc lekarstwa, następnego zaś dnia bardzo dokuczało mu jego bolesne cierpienie, coraz częściej się odzywające. Były to kamienie pęcherzowe.

Wkrótce przecież znowu poluje. Z początkiem czerwca wybrał się do Secymina w pow. sochaczewskim. I „zabawił się Pan polem lubo niewygodnym pod ten czas. Objechali różne miejsca wesołe tam, na tamtym brzegu Wisły, u p. Brzezińskiego, podkomorzego nurskiego, bardzo wczesną mieli subsystencyją".

Następna wzmianka o polowaniu pochodzi z 9-go września. Król, wyruszywszy z Warszawy do Żółkwi, poluje po drodze.

„Dziś Król JMć polowaniem zabawiać się będzie, bo już od 4 dni semeni[5]) Panu przygotowali to polowanie".

Dalsze notatki datowane są już z Żółkwi, w listopadzie.

I tak pod datą 9 listopada:

„Król JMć zjadszy śniadanie po ranny mszy, na polowanie z charty pojachał, dwóch zajęcy uszczwawszy, samym zmrokiem powrócił".

Tożsamo dnia następnego:

„Król JMć po mszy zaraz na Horaj[6]) pojachał i tam obiad zjadszy, polował, aż samym zmrokiem powrócił".

12 listopada:

„Mszy wysłuchawszy, Król JMć dzień bardzo mając wesoły, pogodny, zaraz jachał na polowanie. Zjadszy śniadanie w Zarudziu[7]) do samego wieczora

[1]) *Ziembicki W.*, Zdrowie i niezdrowie Jana Sobieskiego, Poznań 1931, str. 20.

[2]) *Ziembicki W.*, Nieznany diarjusz (w pracy: Zdrowie i niezdrowie, str. 34—52).

[3]) Przy drodze z Warszawy do Bielan. Tu, wśród lasu królewskiego, który otaczał pierwotnie Warszawę, i był niegdyś ulubionem miejscem łowów książąt mazowieckich, a którego to lasu ostatki przechowały się na Bielanach, wystawiła sobie Marja Kazimiera pałacyk na wzgórzu i nazwała go „Mariemont". Jan III tu polował. Później August II nabył pałacyk od królewicza Konstantego, a August III założył tu zwierzyniec i używał w nim myśliwskiej rozrywki. Za czasów Królestwa kongresowego założono w Marymoncie instytut agronomiczny, otwarty 1818 r. Zob.: Słownik geogr., t. VI, str. 157.

[4]) Podskarbim nadw. kor. był wówczas Atanazy Miączyński, marszałkiem nadw. kor. Józef Lubomirski.

[5]) Semeni, obok janczarów, należeli do straży przybocznej Jana III.

[6]) Sarnecki stale pisze *„Horaj"*, a nie *„Haraj"*. Przemawia to przeciwko znanemu przypuszczeniu, jakoby nazwa owej góry miała pochodzić od słów Sobieskiego: „Ha! raj!" (Zob. Starożytna Polska, Warszawa, 1885—86).

[7]) Pod Żółkwią niema obecnie tej nazwy miejscowości, ani przysiółka. Może są to dzisiejsze Zarudce, albo jakieś miejsce za Rudą.

bawił się. Sarna na samego Króla JMci padła i w oczach Jego onę ubito. Ucieszony JKMć wesoło powrócił".

27 listopada:

„Dzień, że był wesoło pogodny, po wysłuchaniu mszy zaraz Królestwo IMcie do Żółtaniec[8]) na obiad pojachali. Po obiedzie oglądał Król JMć tamże stado swoje. Po obaczeniu onego polowaniem się zabawiał do samego Kukizowa[9]) i tam nocowali Królestwo IMcie. Bardzo niedobre pole miał Król JMć, bo żadnego nie szczwał zwierza. I JMć Pan Poseł francuski[10]), jako comes huius itineris, wespół z Państwem siedząc w karecie, także tej dopomagał przejażdżki i polowaniu".

28 listopada:

„Po mszy pojachało Królestwo IMcie z posłem francuskim do Jaryczowa[11]) na obiad, mil dwie na Dziedziłów[12]) objeżdżając, a to dla widzenia bajwołów i forteczkiej, którą na stawie na kępie wystawić rozkazał. Po obiedzie Królestwo IMcie polowało. Nie mieli szczęścia w polowaniu, nie bardzo wesoło na noc do Kukizowa powrócili".



Wyraźne pudełko! Strzela rotm. Kaz. Grocholski.

Załączam tu jeszcze relację z dnia 29 listopada, jako zawierającą pewne szczegóły charakterystyczne i w związku z polowaniem pozostające. Dnia tego król wydawał rozmaite dyspozycje co do dalszej rozbudowy Kukizowa, gdzie właśnie został wykończony nowy pałac. Chodził więc z budowniczym po ogrodzie i po mieście, na obiad zaś pojechał do Kulikowa[13]). Tutaj „JMĆ Pan Olewiński, bliski sąsiad Kulikowa, przysłał Królowi JMci 20 par trzetrzewiów i dwóch legawców prezentował, bardzo pięknych i dobrych."

Czas upływał, zwłaszcza, że „mieszczanie i żydzi wychodzili przeciw Królestwu z podarunkami, to jest jabłkami, gruszkami, wiśniami, w gorzałce moczonemi, gęsiami, kurami i jajcami". Dopiero więc o drugiej godzinie w nocy stanął król z powrotem w Żółkwi. Narażanie się w niesprzyjającej porze roku — wszak był to listopad — na niewczasy, łowy i wieczorne przejażdżki skończyło się, niestety, poważną chorobą. Zaraz po powrocie do Żółkwi zaczął król kaszlać, dostał gorączki i położył się do łóżka. Jak można wnosić z opisanych przez Sarneckiego objawów, było to, groźne w ówczesnych latach króla, kataralne zapalenie płuc. Najgorsza, że nie mógł wziąć udziału w sejmie, co wyzyskało stronnictwo sapieżyńskie, nie dopuszczając do obrad.

Na długi czas spoczęła więc także myśl o polowaniu. Dopiero w lecie (1694) czuł się król na tyle dobrze, że mógł się wybrać do Warszawy, gdzie czekały go przygotowania do wydania za mąż jedynej córki, Teresy.[14])

W następnym roku, 1695, wciąż choruje, to na katar, to na kaszel, to na kamień, tak, że królowa zaczyna się już liczyć z możliwością katastrofy. A jednak — do polowania powraca.

Z listu Sarneckiego z dnia 27 kwietnia tego roku[15]) dowiadujemy się, że książę kanclerz,[16], zbliżając się do Warszawy, spotkał pod Wilanowem króla, jadącego na łowy. W innym liście, z dnia 25 sierpnia, czytamy, że król powrócił z polowania. Oto „za Jeziorną[17]) na dziki tego dnia sieci rzucano, gdzie się ucieszył dobrym połowem".

We wrześniu wreszcie tegoż roku 1695 wybiera się Sobieski na łowy jak za najlepszych czasów. Nie trzeba zapominać, że ruch na świeżem powietrzu uważał on sam, jak i ówczesny lekarz jego przyboczny[18]) za rodzaj kuracji. Dlatego to czytamy w liście Sarneckiego z dnia 8 września:

„Król JMć wczora już miał wyjachać do Góry[19]) na noc, aby się w tamtej okolicy polowaniem mógł ucieszyć i *potrzebną agitacyją levamen*[20]) *zdrowiu swemu przynieść*. Już myślistwo i chorągwie: janczarska i semeńska, praecesserunt, i stanęły w Górze, ale dla niepogody odpołudniowej destulit[21]) intencyją swoję, o jutrze tedy chce koniecznie onę wykonać..."

Okazuje się jednak z dalszej korespondencji, że wyprawę musiano narazie wstrzymać. „Król JMć z łaski Bożej zdrów, pisze Sarnecki, 15 września, tylko na zwyczajne afekcyje powierzchowne, a czasem i wnętrzne uskarża się, ale to bywa z okazyji samego JKMci, kiedy się *nawietrzy*, osobliwie podczas teraźniejszych chwil. Wczora zebrał się był wyjachać na Górę, na łowy, na niedziel dwie albo trzy, ale deszcz przszkodził, dziś jednak całe rusza się z miejsca, już wozy, kuchnie wszystkie, wyszły. To najgorsza, że JKMć w tak plugawą chwilę rekreować się chce."

I tym razem deszcz ulewny unicestwił zamiary. Słota trwała kilka tygodni, tak, że dopiero w pierwszej połowie października się wypogodziło. Dnia 6 października wyruszono. Polowano najpierw w okolicach Góry, potem posunięto się do „Ochwocka"[22]) wreszcie jeszcze dalej, w kierunku Kozienic.[23])

---

8) Żółtańce, 21 km. na płd.-wschód od Żółkwi.

9) Kukizów, w pow. lwowskim, na płn.-wschód od Lwowa.

10) Polignac.

11) Jaryczów, w pow. lwowskim, na płn.-wschód od Lwowa.

12) Dziedziłów, pow. Kamionka Strumiłowa, na płn.-wschód od Jaryczowa.

13) Kulików, w pow. żółkiewskim, na płdn.-wschód od Żółkwi.

14) Teresa Kunegunda, zaślubiona Maksymiljanowi Emanuelowi, elektorowi bawarskiemu.

15) Listy Sarneckiego z roku 1695 i 1696, na które się to powołuję, nigdzie dotąd nie były publikowane. Należą one do źródeł, przezemnie odnalezionych i przeznaczonych do obszernego zużytkowania gdzieindziej, w pracy historyczno-lekarskiej.

16) Dominik Radziwiłł, kanclerz wielki litewski.

17) Jeziorna, wieś w pow. warszawskim.

18) Był to lekarz lwowski, żyd, Jonas.

19) Góra, t. zw. kalwaryjska, miasto nad Wisłą, pow. grójecki.

20) Ulgę.

21) Odłożył.

22) Otwock pod Warszawą, kilkanaście kilometrów poza dzisiejszą stacją kolejową. Jeszcze z końcem XIX w. istniała tu reszta dawnej puszczy (Ustna rel.).

23) Kozienice, w radomskiem. Stał tu niegdyś dworzec królewski. Na łowy zjeżdżał tu jeszcze August III. Zob. Słownik geogr., t. IV, str. 549.

„Ile się słońce pokaże, — pisze Sarnecki pod datą 15 października, — zaraz Król JMć wypada i napatrzyć się nie da, chyba myśliwym w polu, w którym cale szczęścia niema. Niejaki p. Giżycki, szlachcic tamecznej okolicy, temu polowaniu assistit, ale nieszczęśliwie, bo tylko jednego lisa przez te dni uszczwał Król JMć. Wilcy wpław przez Wisłę przepłynęli, na które sieci zastawiano. Póki pogody stawać będzie, pewnie stamtąd nie wyjedzie."

20 października:

„Jeszcze Król JMć, przy zupełnym z łaski Bożej zdrowiu, niemal codzień po kępach i brzegowych wiślnych kniejach polowaniem zabawia się, rzadko kiedy z szczęściem, czasem zając, albo liszka wypadnie, wielkiego zwierza niemasz, takiego, jakiego obiecywano: wilków niezmierne mnóstwo! Dnia onegdajszego nocował za Górą w Konarach, ale i tam niewiele dostało się uciechy w polu prócz liszek. Dla tego nieszczęścia chciał był jachać do Czemiernik[24]) na lepsze polowanie, ale ponieważ nie jachał, pogody też potym ustaną, kiedy już mgły jaknajwiększe tumany przez kilka nocy bywają, do południa trwają, tak kładę, że nie pojedziemy dalej, chyba nazad..."

Wreszcie „po trzytygodniowym w okolicy Góry polowaniu, Król JMć, z łaski Bożej, dnia onegdajszego polem w Wilanowie stanął" — pisze Sarnecki pod datą 27 października.

W listopadzie raz jeszcze uczynił wycieczkę na drugi brzeg Wisły i dnia 28-go „polował przy dniu bardzo pięknym i pogodnym". Z wycieczki tej nazajutrz „wesoło powrócił, jadł z dobrym apetytem"...

Następny rok, 1696, był, jak wiadomo, rokiem zgonu Jana III.

Stan zdrowia podupadał coraz widoczniej. Obrzęki na nogach, trwające już od dawna, wzmagały się. Wielki bohater dalekim był od poddania się cierpieniu i ociężałości. Tężyzna psychiczna i fizyczna nie opuszcza go. A przytem, podziwu godny spokój, wynikający z chrześcijańsko-filozoficznego poglądu na świat, daje mu pogodę i cierpliwość, pozwalającą ze stoicyzmem czekać na wyrok Opatrzności.

Widzimy go — rzecz nieprawdopodobna — znów na polowaniu.

Najpierw w zimie, pisze Sarnecki pod datą 12 stycznia:

„Łaska Boża erigit nam Króla JMci zdrowie in spes meliores,[25]) kiedy Pan codziennie przejeżdża się i polowaniem rozrywa..."

A relacja posła brandenburskiego mówi jeszcze znacznie później:

„W połowie maja tak się królowi poprawiło, że polował. Skarży się jednak na ciężkość w nogach. Upadł nawet z tego powodu dwa razy..."[26])

Ale to już były łowy Jego ostatnie...

Gdy pomyślimy, że było to na miesiąc przed śmiercią, pojmiemy najlepiej, czem było polowanie w życiu tego ostatniego Króla-Łowcy. Do ostatniego prawie tchu tęsknił do przestrzeni i „cieszył się *polem*". Prawda, — nie było to już użycie zupełne, jak to słusznie zauważył był Dupont. Chociaż więc siedział tylko w miejscu, na zwalonej kłodzie, czy nawet w kolasce, to jednak brał udział w rozgrywającej się scenie, jak wódz, który zdaleka patrzy i rozkazy do ataku wydaje. I stawały Mu może naonczas w pamięci dawne lata młodzieńcze i rycerskie, lata znoju i chwały, a serce, biedne, chore serce, wzbierało wzruszeniem...

WITOŁD ZIEMBICKI.

[24]) Czemierniki, w pow. lubartowskim.

[25]) Daje nadzieję na poprawę zdrowia.

[26]) Relacja posła brandenburskiego Zob. *Ziembicki W.*, Zdrowie i niezdrowie, j. w., str. 23.

WŚRÓD JELENI W WIELKOPOLSKICH LASACH.

(Obrazki z natury i rozważania).

Bajeczny stwarza nastrój głos tokującego głuszca w puszczy o świcie, niezapomniane wrażenia daje widok i odzew słonki, ciągnącej po zachodzie słońca na tle soczystych barw wiosennego nieba. dziwnym czarem napawają głosy tokujących o mglistem zaraniu cietrzewi, lecz wszelkie te tony nie dociągają w czemś jeszcze w porównaniu z polowaniem na jelenia; nie emocjonują i nie absorbują tak, jak podchodzenie jelenia w czasie rykowiska.

W prasie łowieckiej toczyła się doniedawna zawzięta dyskusja pomiędzy przyrodnikami i myśliwymi w sprawie odstrzału jeleni w porze godowej. Przyrodnicy wychodzą z założenia, że w tym okresie odstrzał nie powinien mieć miejsca, że okres rykowiska winien być z terminów polowań na jelenie wykluczony. Będąc poniekąd przyrodnikiem z zawodu, a myśliwym z zamiłowania, sądzę, że okres rykowiska jest najdogodniejszym dla zorjentowania się, jakie są w rewirach jelenie i które nadają się do odstrzału. Głosy ryczących jeleni są dość różnorodne i, wsłuchując się w nie, możemy po pewnym czasie nabrać wprawy i rozróżnić, gdzie jaki jeleń ryczy. A jeśli chodzi o selekcję, o odstrzał starych, schodzących już z pola jako reproduktury, lecz najlepiej uwieńczonych byków, to głos jelenia w czasie rykowiska daje bardzo dużo odpowiedniego materjału i wniosków do tej selekcji.

W jaki zresztą inny sposób mamy na jelenie polować, jeśli okres rykowiska miałby być z polowań wykluczony? Czy więc z naganką, jak na koty, czy może na podrzucaną marchewkę? Bo tylko jeszcze te dwa sposoby dostania jelenia są możliwe. A może z psami, jak prabogini Djana? No, ale przy tym rodzaju polowań chodzi więcej o konną jazdę i o emocje sportowe o innym charakterze.

Czy przy polowaniu z naganką są większe szanse ubicia tego jelenia, o którego chodzi — nie sądzę, bo spłoszony jeleń, pędzący z niesłychaną szybkością, nie stwarza warunków, aby skonstatować jaki ma wieniec, a strzela się na nagankach zazwyczaj do wszelkich rogów, bowiem myśliwy, zemocjonowany możnością strzału, mniej uważa do czego strzela, lecz przygotowuje się, jak i gdzie ma strzelać. Jeleń ruszony idzie też zazwyczaj kilka kilometrów i mało jest szans obłożenia go w innym rewirze. Spłoszony, staje się czujnym, a wiemy co znaczy słuch jelenia.

Inny rodzaj polowania to strzał przy sztucznej paszy, polowanie na podrzuconą marchewkę. Jelenia przyzwyczaja się do ulubionej paszy stopniowo, przychodzi on z początku w nocy, potem i w dzień coraz częściej, przyzwyczaja się do dobrych ludzi, sypiących mu codzień słodką marchewkę. daje się więc

zejść na kilkadziesiąt kroków. Jeleń taki wskutek stosunku, jaki się wytworzył pomiędzy nim a ludźmi, przestaje być jeleniem dzikim, staje się jeśli nie na wpół, to w pewnej mierze oswojonym. Zawierzył i wreszcie — dostał kulę. Oczywiście że przy tego rodzaju łowach można się jeleniom napatrzeć, można wybrać grubą sztukę, albo odstrzelić selekcyjnego byka, — ale... taki sposób nazbyt przypomina polowania kłusowników na zajączka pod stertą, na sarenki w noc zimową przy rozstawionych snopkach. Taki też rodzaj polowania mało potrzebuje zachodu. Sztuka upatrzona żeruje w znanych miejscach. Więc — pociągiem lub samochodem na określoną godzinę — pewien czas oczekiwania i — byk gotów.

Polowanie na jelenia daje wtedy najwyższą emocję, kiedy obie strony, to znaczy tak myśliwy, jak i czerwony zwierz posiadają swobodę ruchu, uzależnioną jedynie od kierunku wiatru, kiedy myśliwy zżyje się z knieją, kiedy wszystkie instynkty i zmysły: wzrok, słucha, a nawet powonienie, są napięte w kierunku wypatrzenia, wysłuchania i wyczucia poszukiwanego zwierza, otoczonego przeważnie posterunkami sojuszników t. j. jeleni słabszych, łań, a nawet sarn, które meldują pośpieszną ucieczką w specjalnem tempie o pojawieniu się nieopatrznego, dającego się spostrzedz myśliwca.

Przyrodnikom chodzi o niezakłócanie okresu godów, ale czy okres rykowiska, to nie bezustanna walka tych średnich, fizycznie najmocniejszych z młodemi i staremi? Byk prowadzący chmarę musi dzień w dzień staczać walkę, lub stawać do walki z przeciwnikami, z których każdy czyha na jego kochanki, musi walczyć o to, co uważa za swoją własność, musi czuwać nad płochemi, przeważnie starszemi łaniami, aby mu nie uchodziły z jakimś włóczącym się gdzieś na boczku kibicem. Rykowisko to ciągłe starcia, pościgi, napady i odwroty. Na temat rykowiska w literaturze niemieckiej mamy szereg prac, na specjalną uwagę zasługuje „Hirscheum" hr. Münstera. Niestety w naszej literaturze, o ile się nie mylę, nie mamy żadnej monografji o jeleniach.

Jeśli więc do rewiru w czasie rykowiska dostanie się myśliwy, który umie zachować się jak trzeba, który potrafi cierpliwie posuwać się w stronę ryczącego zwierza, zachowując wszelką ostrożność, to zakłócenie okresu godów redukuje się do jednego momentu t. j. do strzału. Ale czy strzał w czasie rykowiska płoszy zwierzynę? Pozwolę sobie przytoczyć następujący epizod.

W roku ubiegłym podkradłem się wraz z leśniczym p. M. wzdłuż czworoboku ½ kilometrowego zagajnika do ryczącego jelenia, doszedłem na 250 kroków, ale dalszemu zbliżaniu stanęła na drodze granica rewiru. Zacząłem więc wabić — była godzina 16½. Jeleń odpowiadał na każdy mój odzew, ale nie wychodził z gęstego zagajnika. Ze sposobu ryczenia tego byka wnosiłem, że jeleń posiada obfity harem, jakoż nie myliłem się. Obserwując ciągle zagajnik, zauważyłem cztery czy pięć kręcących się sztuk. Udawałem młodego jelenia, wabiącego łanie. Ryczący jeleń gniewał się na mnie. groził. Kilka łań na mój zew wyszło na skraj zagajnika i jedna z nich nawet zaczęła się posuwać w moją stronę. Ale w tej chwili zjawia się na skraju zagajnika byk i rycząc naciera na łanie, a te cofają się w głąb zarośli. Wśród młodych sosenek mignął mi pochylony wieniec, jaki — pozostało to narazie zagadką; z głosu sądziłem, że jest to dziesiątak lub dwunastak. Pozostawiwszy leśniczego p. M. na narożniku czworobocznego zagajnika, posuwam się, ciągle wabiąc, wzdłuż granicy jeszcze z 200 kroków i docieram do niewielkiej drągowiny, skąd oddziela mnie już tylko sto kroków od długiego zagaja, znajdującego się już za granicą, gdzie ryczy odemnie teraz z prawej strony ów silny byk. Chowam się obok drągowiny pomiędzy 3 krzaki jałowca i zaczynam na muszli wywoływać do walki ryczącego jelenia, który ciągle mi odpowiada. Po chwili do naszego dwugłosu dołącza się trzeci głos — to jakiś słabszy byk odzywa się odemnie z lewej strony, gdzie mam przed sobą obszerną łąkę, niezbyt gęsto usianą młodemi sosnami, a przechodzącą stopniowo w zwarty, dwumetrowej wysokości zagajnik. Wsłuchuję się w sposób wabienia tego nowego jelenia, a jednocześnie nawprost mnie odzywa się znów nowy przybysz, jak wnoszę z głosu bardzo silny jeleń. W ciągu pół godziny słychać jeszcze dwa dalsze. Robi mi się dziwnie. Przestaję ryczeć bo już i gardło zaczyna dolegać i w ustach czuję suchość, i tylko wtedy, kiedy milkną jelenie, wznawiam koncert. Zjawia się wreszcie dość blizko znów jeden, prawdziwy o r g a n i s t a, bo obejmuje prym w koncercie i nie pozwala się nikomu przeryczeć. Jest to jeleń rykała, znany na rykowiskach z tego, że potrafi niezmordowanie ryczeć o świcie i zachodzie, przez całą noc, a i za dnia bardzo często się odzywa, pierwszy on zaczyna, a ostatni kończy. Taki jeleń podług mnie nie powinien być odstrzeliwany, bo jest to zazwyczaj średni byk przyszłościowy, jakiś dobry dziesiątak. Znałem tego rykałę już dawniej, więc chętnie oddaję „organiście" prowadzenie siedmio czy ośmiogłosowego chóru, sam zaś nasycam się czarem tego dziwnego koncertu nad koncertami, jednocześnie obserwuję na wszystkie strony, czy który z koncertantów nie wysunie się na przylegającą do mego stanowiska łąkę. Z zachodu podnosi się ciemna chmura i przysłania zniżające się słońce. Wtem z boku na łąkę wysuwa się ciemno bronzowa plama. Tak — to byk, samotny, dobry ośmak, ten prawdopodobnie, który odezwał się drugi zkolei. Zbliża się coraz bardziej, jakby mnie szukał i przechodzi odemnie z lewa na prawo o czterdzieści kroków, ryczy w dość wysokiej tonacji, przeciągle. Nie strzelam oczywiście, podziwiając jego smukłe kształty i dobrze rozłożony, acz niewielki jeszcze wieniec.

Jelenie ryczą coraz donośniej, mgła wieczorna potęguje głosy, jestem jakby w pierścieniu rykowiska, przedemną o 400—500 kroków najtęższy byk, najtęższy, gdyż końcowy ton jego jest wyjątkowo niski. Głos jelenia z prawej za granicą jest podobny, lecz układ tonów jest inny: to się wznosi, to opada, wykazując byka przy stadzie. Byk ten najwięcej grozi poczwórnemi, krótkiemi tonami lub przeciągłym jednotonowym, groźnym charkotem. Więc może będzie walka, to najciekawsze widowisko myśliwskie, tylko przeszkadza wieczór i ta zapadająca ciemność. „Organista" z lewej strony, gdzieś o trzysta kroków ryczy przeciągle bez przerwy, lecz nie: jego głos zawiera nietylko wabienie samicy. Jest tam coś więcej: barytonowy śpiew trubadura, uniesienie w najwyższej ekstazie. Głosem swym chce wywołać jakiś specjalny efekt w całem otoczeniu i nie grozi, nie wyzywa do walki, lecz upaja się czarem zespołu ryczących jeleni, czarem wieczoru. Nie „organista" to, nietylko poszukujący łań samiec, to — poeta. Podniecają go tylko głosy kilku młodszych jeleni, które zagłuszyć stara się na swój sposób. Czy ma ze sobą łanie? Prawdopodobnie tak, ale pewno niewiele, bo skala jego tonów jest równa, bez tych charakterystycznych, wysokich tonów, jakie ma byk przy chmarze. Z lewej znów, nieco dalej, niż ósmak, przesuwa się nowa rogata sztuka, ale i to rogi jakieś słabe, bez koron, więc nie interesuję się nim dłużej. Dziwny zaiste, nadzwyczajny wieczór. Zapominam, że mam sztucer w ręku, cały wchłaniam w siebie te silne, to basowe, to barytonowe dźwięki. Rozróżniam według głosów poszczególne byki i stawiam wnioski co do ich wieńców. Najmocniejszy ryczy zrzadka, zbliża się wprost do mnie, więc czekam. W oddali z prawej, gdzieś na wzgórzach słychać walkę, jakby ktoś tłukł bezustanku kule bilardowe. To młode jelonki, porwane specjalnym nastrojem wieczoru, chcąc ulżyć swym budzącym się instynktom, rzuciły się bez wyzwania do walki. Ciemności coraz gęstsze zaczynają zalegać ziemię. Więc

nic z mojego kunsztu, nic nie będzie z tego, że może wywołałem to zbiegowisko ryczących byków. Lecz jakiś chrzęst słyszę przed sobą. Wytężam wzrok. Coś zamajaczyło wprost przedemną. Może idzie ten najmocniejszy wprost na mnie... Nie, to nie byk, to łania. Przyglądam się jej, lecz mignęło coś za nią, z pośród krzaków błysnęły jaśniejsze odnogi wieńca, jest więc i byk. Pilnie przyglądam się przez lornetkę i spostrzegam na jednej z tyk potrójną koronę. Przy braku światła, wystarcza mi to. Jelenie skręcają w lewo nieco odemnie i suną przez zarosłą wysokiemi trawami łąkę. Widzę grzbiet byka, widzę jedną koronę z tępemi zupełnie końcami. Więc jakiś starszy jegomość, to on pewnie takim basem ryczał. Trzeba się decydować na strzał, musi to być stary degenerat.

Korzystam, że byk na prawo odezwał się groźnie, rycząc wymownie, i strzelam na kroków osiemdziesiąt, biorąc za cel krzyż. Byk ruluje w ogniu. Próbuje kilkakrotnie powstać, lecz wali się znów nawznak. Łania, idąca przed bykiem, odwraca się i ogląda z ciekawością co wyrabia rogal, który przewraca się z jednego boku na drugi, wywijając badylami. Ryki jeleni nie cichną zupełnie. Grzmi byk, właściciel haremu z prawej, kalikuje „organista" z lewej i... wtem, o kroków dwieście przedemną odzywa się potężny głos kapitalnego byka. O psia... więc to nie on, położyłem jakiegoś innego. Ciemności gęstnieją. Polowanie skończone, choć rykowisko trwa. Wychodzę ze swego ukrycia i zbliżam się do leżącego, lecz jeszcze żywego jelenia. Łania stoi i patrzy na mnie czas jakiś, nie domyślając się, że jestem sprawcą. Gdy zbliżam się dalej do byka, odchodzi zwolna w krzaki. Do leżącego, aby się nie męczył, strzelam raz i drugi. Tylko ten najbliższy byk, który był za granicą z prawej, zostaje spłoszony, widzi go leśniczy p. M., jest to mocny 12-ak. Ten inny, najmocniejszy, a za nim „organista", ryczą dalej. Oglądam leżącego. Słaby, nieregularny dziesiątak, degenerat z jedną trójką i tępemi końcami. Wobec tego, że to już drugi był mój byk, program polowania został wyczerpany.

Podchodzi p. M. i mówi: „Istna obora" i opowiada, że po tych dwóch strzałach jeleń z leżącego za granicą zagajnika w szybkim kłusie przebiegł na naszą stronę. Ten więc zamilkł. Pan M. idzie po konie. Ja zostaję przy byku. Silny byk oddala się w stronę przeciwną odemnie, lecz ryczeć nie przestaje, sekundują mu jeszcze dwa-trzy byki. Był już zupełny mrok, kiedy zabraliśmy jelenia. Rykowisko przycichło dopiero wtedy, kiedy słychać było trajkot jadącej bryczki. Jednak nie zupełnie. Za silnym bykiem w tym samym kierunku udał się „organista". Centrum rykowiska przeniosło się gdzieś dalej, ale nie zostało przerwane. Fakt ten wzięty z natury, wykazuje, że nawet strzały nie płoszą zwierzyny i nie psują rykowiska, jeśli jest ono, oczywiście nie jednostkowe, lecz zbiorowe. Wypadek zastrzelenia nie tego byka, na którego zbliżenie liczyłem, nauczył mnie większej powściągliwości.

(D. c. n.).

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

JAK TO MÓJ PRZYJACIEL POLOWAŁ NA WILKA.

Było to w czasie wojny światowej, w roku 1916. Zajmowaliśmy przez kilka miesięcy stałe pozycje na sławnych błotach w okolicach Rokitna. Latem kraina ta przedstawiała istny raj myśliwski; mimo działań wojennych, roiło się tam całe mnóstwo kaczek, gęsi, bekasów, bąków, derkaczy i wiele innego, wodnego i błotnego ptactwa.

Z nastaniem zimy srożyły się ogromne mrozy, dochodzące do 40 stopni, a powierzchnia ziemi okryła się 2 metrową warstwą śniegu. Zdawało się, iż obie strony walczące zamarły na zawsze. Wszelki ruch ustał, artylerja zamilkła, nawet najdalej wysunięte placówki nie wymieniały obustronnie z przyzwyczajenia oddawanych codziennie strzałów. Kogo więc obowiązki służbowe nie wypędzały z ziemianki, ten, zakopawszy się w miękkie legowisko z sitowia i trzcin, przesypiał niby borsuk zimno i śnieżycę.

Często robiliśmy z por. M. myśliwskie wycieczki w okolicę na tyłach, zarezerwowaną dla dowodzącego tym odcinkiem generała i jego sztabu, nie czyniąc sobie żadnych skrupułów z naszego kłusownictwa w rewirze generalskim, gdyż toczącą się wojnę uważaliśmy z punktu widzenia myśliwskiego za jedno wielkie kłusownictwo.

Wreszcie ukazały się i wilki, których mój przyjaciel M. miał podobno całą zgraję wytropić.

Pewnego razu doniósł nam ordynans, nieodstępny nasz towarzysz w wyprawach myśliwskich, że w nocy pokazał się wilk na placu, dokąd zajeżdżała kuchnia polowa. Rzeczywiście, pobiegłszy tam, spotkaliśmy wiele tropów, wskazujących silnego „basiora", na których widok zagrała w nas pasja myśliwska. Początkowo planowaliśmy zaprosić kolegów i zapolować z naganką, albowiem opodal tego miejsca był dosyć duży zagajnik, gdzie przypuszczalnie mógł się zgłodniały rabuś ukrywać, lecz towarzysz zadecydował położyć przynętę i urządzić zasiadkę, jako środek pewniejszy i dający więcej emocji. Wybraliśmy wkrótce odpowiednie miejsce, na którem jako przynętę położyliśmy padłego w taborze konia. W wykopanych po to jamach ziemnych, okryci słomą i kocami, przesiedzieliśmy już cztery długie, okrutnie mroźne noce, skąd każdorazowo nad ranem zaledwie mogliśmy się dowlec do ziemianki. Chociaż z bólem w odmrożonych nogach i nosach, oczekiwaliśmy zbliżającej się nocy, no i naturalnie wilka, który, jakby przeczuwając zasadzkę, nie przychodził.

Piątej nocy zaniechaliśmy zasiadki, gawędząc w ogrzanej ziemiance z kolegami sąsiedniej kompanji. Nagle usłyszeliśmy w najbliższym okopie podejrzany niepokój i wołanie mnie po nazwisku. Zanim się zerwałem z miejsca, wpada zdyszany ordynans i melduje, że wilk jest w pobliżu miejsca, gdzie przystaje kuchnia polowa. Więcej nie dosłyszałem, porwałem bowiem najbliżej stojący w okopie karabin, tosamo uczynił i mój *socius doloris* kolega M. i popędziliśmy łącznikowym okopem w ową stronę. Gdy znaleźliśmy się przypuszczalnie w 100-metrowej odległości od tego miejsca, przyjaciel, wezwawszy pomocy św. Huberta i przyobiecawszy w razie, gdy wilka położy, postawić ostatnią butelkę czerwonego wina i resztę cygar, wysunął się na brzeg rowu, przygotowany każdej chwili do strzału. Wkrótce suchy trzask karabinowy przeszył powietrze, a żerujący rabuś zwinął się w ogniu.

W kilkunastu skokach byliśmy przy nim, a mój przyjaciel uradowany zdobyczą rzucił mi sie w objęcia, nie posiadając się z radości. W tryumfalnym pochodzie, otoczeni w międzyczasie przybiegłymi gapiami, powracaliśmy do naszej ziemianki. Lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość po okopach, iż porucznik M. ubił wilka. Całe falangi winszujących por. M. sukcesu, nadciągały do jego ziemianki, a ten każdego starał się odpowiednio uraczyć. Wiwatowano, śpiewano i wykrzykiwano na cześć zwycięzcy, jakby jakiego smoka skrzydlatego pokonał. Zdawało się, iż wilczej uroczystości nie będzie końca.

— — — — — — — — — —

Następnego dnia rozkaz dowództwa dywizji zawierał miedzy innemi taki ustęp: „Pies sanitarny „Nero" zaginął. W razie przychwycenia należy go natychmiast odesłać do kompanji sanitarnej. Meldunki do 3 dni przedłożyć dowództwu".

Jak się okazało, owym wilkiem był pies sanitarny, Nero.

J. ŻARNOWSKI.

ODPOWIEDŹ NA ARTYKUŁ: „WOBEC ARTYKUŁU: „UWAGI PRAWNICZE“*)

W artykule, wymienionym w nagłówku, (Łowiec Polski, Nr. 35 (736) z dn. 10. XII. 1933 r.) p. Wysocki zaznacza, iż w uwagach prawniczych, pomieszczonych w Nr. 32 „Łowca Polskiego" z r. u., spotkał się z teorjami, z któremi, według niego, nie mogliby się zgodzić prawnicy.

Do takich teoryj ma przedewszystkiem należeć rzekome moje twierdzenie, że „własność publiczna jest majątkiem bezpańskim", gdyż twierdzenie takie „sprzeciwia się zasadzie prawniczej, która uznaje własność publiczną, jako majątek osoby prawnej, którą jest państwo".

W zupełności podzielałem i podzielam zdanie p. Wysockiego i dlatego w artykule moim podobnego twierdzenia nie umieszczałem. Powiedziane jest tam natomiast, że „są majątki bezpańskie, które stanowią własność publiczną". Powiedzenie to zaczerpnięte zostało z art. 539 kod. cyw., który brzmi: „wszelki majątek niezajęty i bezpański... stanowi własność publiczną".

Również nie ryzykowałem, jak mi to zarzuca p. Wysocki twierdzenia, że „właściciel nie może bronić swego mienia przed drapieżnikami, ochranianemi przez prawo".

Twierdziłem natomiast, że „właściciel nie może tępić drapieżników, ochranianych przez prawo".

Zdaje się, że istnieje różnica pomiędzy „obroną konieczną" w ramach art. 21 i 22 kod. kar., a „tępieniem".



Pokot po opolowaniu miotu z foxterierami (w 1-ną strzelbę).
Fot. Stanisław Politalski.

Zarzut, jakobym zaprzeczał właścicielowi gruntu prawa „obrony koniecznej" przed napaścią drapieżników na jego dobro, poprzedza p. Wysocki obszernemi wywodami, w których oskarża mię o niedozwolone dla prawnika dowolne uzupełnienia art. 95 i 99 konstytucji własnemi słowami.

Mianowicie, imputuje mi p. Wysocki twierdzenie, że „państwo, według konstytucji, poręcza obywatelowi ochronę jego mienia tylko przed zamachami współobywateli", czyli, innemi słowy, imputuje mi autor twierdzenie, że państwo nieobowiązane jest chronić mienia obywatela polskiego „przed obywatelem państwa niemieckiego czy tureckiego, bo ten nie jest współobywatelem jego".

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że w artykule moim nie powoływałem się ani na art. 95 ani na art. 99 konstytucji, a mówiłem ogólnie o zasadzie konstytucyjnej, nie może być przeto mowy o „dowolnem uzupełnianiu swojemi słowami" wzmiankowanych dwóch artykułów.

Inkryminowane przez p. Wysockiego zdania, w których rzekomo dopuściłem się przeinaczenia tekstu konstytucji, w rzeczywistości brzmią: „zasada ta" (konstytucyjna) „ma na widoku ochronę prawną mienia przed zamachami na nie ze strony innych obywateli", a następnie „państwo, według konstytucji, poręcza obywatelowi ochronę jego mienia przed zamachami współobywateli".

W przytoczonych zdaniach — określenia „inni obywatele" i „współobywatele" użyte zostały w tym samym sensie, w jakim wyrażeń tych używa konstytucja w całym szeregu artykułów dla określenia wogóle m i e s z k a ń c a Rzeczypospolitej Polskiej. W tym sensie o obywatelach traktują art. 90, 92, 95, 96, 97, 98, 99, 100 i in. konstytucji. W artykułach tych konstytucja traktuje jednakowo obywateli polskich i cudzoziemców, pod warunkiem oczywiście wzajemności, co zostało wyrażone w ust. 2-m art. 95 konstytucji, który głosi: „Cudzoziemcy używają pod warunkiem wzajemności równych praw z obywatelami państwa polskiego oraz mają równe z nimi obowiązki, o ile ustawy wyraźnie nie wymagają obywatelstwa polskiego".

Zdaje się wyraźnie! Czy i po tych wyjaśnieniach nasuwać może jakiekolwiek wątpliwości twierdzenie, że państwo poręcza każdemu obywatelowi (w znaczeniu mieszkańca państwa) ochronę prawną mienia przed zamachami „innych obywateli" — „współobywateli" (w temże znaczeniu mieszkańców)? Czyż twierdzenie to stoi w jakiejkolwiek sprzeczności z art. 3 kod. post. cyw., głoszącym, że każdy może poszukiwać ochrony sądowej?

Z przytoczonego staje się jasnem, że zaznaczone obszerne wywody p. Wysockiego o rzekomem przeinaczaniu przezemnie tekstów konstytucji, doprowadzające do absurdalnych wniosków, iż w Polsce obywatel polski nie może poszukiwać ochrony sądowej przeciwko cudzoziemcowi, mieszkającemu w Polsce, — miały na celu zdyskredytowanie mnie w oczach czytelnika, jako prawnika.

Wynika to ze słów „ale przypuśćmy nawet, że zaszła tu pomyłka w słowie i że p. H. Z. zamiast „współobywatele" chciał powiedzieć „ludzie". Po tem omówieniu (zaopatrzonem w pouczenie, jak powinien prawnik obchodzić się z tekstami ustaw i jak się on winien zachowywać w dysputach prawniczych), p. Wysocki twierdzi z całą pewnością siebie, że nie odpowiada intencjom ustawodawcy takie tłumaczenie konstytucji, przy którem chce się narzucić państwu obowiązek ochrony mienia obywatelskiego przed zamachami tylko ze strony ludzi.

Jako przykład, że tak jest, jak twierdzi p. Wysocki, wskazuje mój oponent na to, że przecież państwo reguluje rzeki i potoki górskie, że przecież państwo przedsiębierze środki w celu ochrony mienia obywatelskiego przed pogorzelą, oraz np. przed szkodami, wyrządzonemi przez dziki i wilki.

Niestety, przytoczone przykłady mijają się ze swem zadaniem. Wszystkie te czynności państwa, na jakie wskazuje p. Wysocki, mają na względzie interes publiczny, a nie interesy prywatne poszczególnych oby-

*) Na powyższym artykule zamykamy polemikę, uważając ją naogół za wyczerpaną, a poruszone tematy za zbyt fachowo prawnicze, nie nadające się do traktowania na tym poziomie w piśmie łowieckiem. (Przyp. red.)

wateli. Swych prywatnych interesów obywatel musi bronić sam i to — przed innymi współobywatelami — na drodze sądowej (z wyjątkiem oczywiście „obrony koniecznej" przed napastnikami), zaś przed siłami przyrody — w sposób właściwy.

Państwo. zgodnie z konstytucją „n i e c h r o n i" prywatnej własności, a tylko „zapewnia" (art. 95) i „poręcza" (art. 99) ochronę mienia prywatnego na drodze prawa. W tym celu państwo w osobie władzy ustawodawczej, stanowi, w myśl art. 3 konstytucji, prawa publiczne i prywatne.

Przykłady, przytoczone przez p. Wysockiego, wchodzą właśnie w zakres prawa publicznego (ustawa wodna, prawo łowieckie i in.).

Rozprawiwszy się z temi „teorjami", z któremi. według p. Wysockiego, „nie mogliby się zgodzić prawnicy", przechodzi mój oponent do kwestji uczynionego przezemnie zarzutu, iż mylne jest twierdzenie, jakoby z chwilą ogłoszenia kodeksu karnego z r. 1932 powstały wątpliwości prawne co do własności zwierzyny.

Niestety, aczkolwiek p. Wysocki powołuje się na szereg artykułów, ogłoszonych w prasie, na których oparte jest omawiane twierdzenie. nie zmienia to postaci rzeczy, gdyż nie może się prawnik zgodzić z twierdzeniem. że kodeks karny może zachwiać prawnem pojęciem prawa własności.

Jeżeli odnośne wątpliwości wypowiadane są przez prawników, to są to wątpliwości najwyżej „prawników". nie zaś „prawne".

Na zakończenie — kilka słów wyjaśnienia. dlaczego „zdawało mi się". iż p. Wysocki zapatruje się na drapieżniki, jako na mienie bezpańskie.

Zwierzyna łowna stanowi specyficzny rodzaj własności. O ile każde inne mienie jest własnością czyjąś tak długo, jak długo ten ktoś nie odstąpił swej własności komu innemu, lub jak długo nie został jej pozbawiony mocą prawa, — o tyle zwierzyna łowna sama zmienia właściciela z chwilą przejścia z jego terytorjum na terytorjum innego właściciela.

Otóż celem ochronienia tego mienia (zwierzyny) przed nieograniczonem tępieniem przez każdoczesnego jego właściciela, prawo łowieckie ustanawia terminy ochronne dla poszczególnych rodzajów zwierzyny.

Ponieważ p. Wysocki wypowiada się stanowczo przeciwko ustawowej ochronie drapieżników, dopuszczając jedynie tworzenie dla nich rezerwatów na terenach dóbr państwowych, dało mi to asumpt do pomówienia go o tendencję podciągnięcia drapieżników pod pojęcie takiego ustawowo nieochranianego majątku bezpańskiego. który stanowi własność publiczną i z którego. jako niechronionego, każdy ma prawo korzystać bez ograniczenia, t. j. ma prawo łowić i tępić, jak to ma miejsce w stosunku do motyli i in. owadów.

Gorący protest, z jakim wystąpił p. Wysocki przeciwko pomówieniu go „o wydanie bezapelacyjnego wyroku zagłady na drapieżniki" (patrz artykuł w Nr. 28 „Łowca Polskiego" z r. 1933), zmusza mnie do cofnięcia mego zarzutu.

Wreszcie w kwestji rzekomego imputowania p. Wysockiemu interpretowania art. 270 k. k. zaznaczam, iż moje „prawnicze" twierdzenie oparłem na budowie odnośnego zdania w artykule p. Wysockiego.

Pisze on: „powstało przypuszczenie, że zwierzyna, znajdująca się w dzień w mojem łowisku, przestała być w nocy moją własnością". Użycie w tem zdaniu zaimków „w mojem", „moją" zrodziło przypuszczenie. że autor wygłasza swój własny pogląd, nie zaś powtarza cudze zapatrywanie.

H. Z.

O ROZRZUCIE ŚRUCIN „WGŁĄB".

Przeglądając ostatnio czasopisma myśliwskie francuskie, wpadł mi w ręce numer „L'Eleveur" z dn. 13. XII. 31 r., a więc dość stary, znalazłem tam jednak ciekawy artykuł p. J. de Monrison o rozrzucie wgłąb przy strzale śrutowym. Ponieważ tej kwestji u nas nikt. zdaje mi się, nie poruszał, pragnę się podzielić z czytelnikami „Łowca P." tem. co znalazłem ciekawego w tym artykule.

Gdy próbujemy strzelbę, zwracamy uwagę na rozrzut wszerz. na boki, nikt jednak u nas nie bada, jak uderzające w cel śruciny są zgrupowane na głębokość, skoro nie dotykają one celu jednocześnie, ale jedne nieco wcześniej, drugie później. Autor artykułu powołuje się na książkę p. M. Courally, który znów czerpie swe dane z doświadczeń robionych przez angielskie towarz. fabr. prochu Schultz. W pracowni tego towarzystwa badano na jaką długość rozciągają się śruciny przy strzale. W tym celu za zwykłą tekturową tarczą umieszczono szybko obracający się cylinder (985 obrotów na minutę), na którym śrut zostawia odciski w miarę jak dolatuje i można potem dokładnie zbadać rozciągłość „snopa" śrucin. Próby wykonano na różnych odległościach, strzelając z 12 kal. i to raz z czoka. raz z cylindra, wyniki były następujące:

	Odległość		Rozciągłość „snopa" śrucin	
№	yardów	metrów	cylinder	czok
1	10	9,14	85 cm	45 cm
2	20	18,28	125 cm	80 cm
3	30	27,45	185 cm	165 cm
4	40	36,57	300 cm	245 cm
5	50	45,75	335 cm	290 cm

Jak więc widać z powyższego czok wpływa na skrócenie rozwlekłego snopa śrucin, co szczególnie ważne jest przy „defilatorach". bo przy strzelaniu na sztych i tak śruciny dosięgną zwierzynę.

U nas zadawalnialiśmy się dotąd strzelaniem do arkuszy, względnie badaniem penetracji.

Czy nie należałoby broni i amunicji badać również na rozrzut wgłąb?

H. TYSZKIEWICZ.

Do PP. Prenumeratorów.

Przypominamy PP. Prenumeratorom, że czas odnowić prenumeratę „Łowca Polskiego" na rok 1934, I-sze półrocze, I-szy kwartał, lub na miesiąc styczeń.

Administracja „Łowca Polskiego".

WOLNA TRYBUNA.

NIEZDROWE STOSUNKI.

W artykule, zamieszczonym w N-rze 33 „Łowca Polskiego p. t. „Historja małego rewiru", autor ubolewa, że bardzo znikoma liczba właścicieli, a zwłaszcza dzierżawców małych terenów dzieli się z ogółem czytelników wiadomościami o rezultatach swej pracy w gospodarowanych łowiskach, oraz spostrzeżeniami na ten temat.

Być może, że dzieje się to wskutek skromności jednych, a z braku czasu u drugich, sądzę jednak, że istnieją również inne, poważniejsze przyczyny, które sprawiają niedochodzenie do nas tak pożądanych wiadomości, jak o postępach racjonalnej gospodarki w mniejszych łowiskach, zwłaszcza dzierżawionych od dyrekcyj lasów państwowych.

Postaram się główną, mojem zdaniem, przyczynę milczenia gospodarzy wielu takich łowisk określić bliżej.

Zaczyna się od tego, że ktoś staje do przetargu o dzierżawę jakiegoś objektu państwowego, a po niewielkiej stosunkowo walce utrzymuje się ze swoją ofertą. Ta łatwość zwycięstwa na przetargu ma swe usprawiedliwienie w tem, że po większej części tereny te nie mogą uchodzić za dochodowe pod względem posiadanych zwierzostanów, natomiast, jako bardzo, albo dosyć puste, muszą być zgóry uważane za kosztowną „zabawę" dla przyszłego ich dzierżawcy.

Toteż biada temu, kto nieopatrznie a hojnie nałoży starań i kosztów aby wydzierżawiony teren doprowadzić do stanu wartościowego, a chociażby przeciętnego łowiska.

Gdy się to bowiem stanie, a okres dzierżawny ma się ku końcowi i nadejdzie termin nowego przetargu na dalszy okres czasu, wtedy dopiero nieopatrzny hodowca i gospodarz łowiska przekonywa się, że przez znaczne podniesienie zwierzostanu narobił sobie biedy.

Warunki przetargu to składanie ofert w zamkniętych kopertach (dobre to przy przetargach na partje drewna, gdyż kupiec go nie wyhodował). Zgłaszają się liczni już teraz i chętni konkurenci, pragnący używać owoców cudzej pracy. Zjawiają się kółka myśliwskie i pojedynczy myśliwi, ba! wiem o wypadku, że nawet komornik, przyjechawszy do poprzedniego dzierżawcy dla dokonania „urzędowych czynności" — stanął jako jeden z współubiegających się na przetargu o nęcący teren.

Dawny dzierżawca znajduje się teraz w zupełnej dezorjentacji — wiele dać? Jeśli da o grosz zamało — djabli wezmą zagospodarowany przez niego teren. Zadużo dać nie może, bo go na to nie stać. Dla interesów skarbowych w to graj, bowiem teren, który wart był przed okresem pierwszej dzierżawy marne grosze, wyjeżdża raptem na renomowane łowisko i osiąga np. tenutę 80 groszy za hektar! Trzeba więc wogóle zrezygnować z licytacji, albo samemu podbijać cenę za własny towar, za zwierzynę przez siebie samego zaprowadzoną, wielokrotnie rozmnożoną i do końca skrzętnie ochranianą.

Zgodzą się chyba wszyscy, że w tak niesprawiedliwych warunkach żaden dzierżawca nietylko nie chce i nie może ogłaszać na prawo i na lewo, a już tembardziej w pismach, o rezultatach swej pracy na dawnem pustkowiu, lecz, przeciwnie, powinien chyba związywać słowem honoru zapraszanych do siebie na doroczne polowania gości, żeby nie zdradzili go ani słowem, jakie polowania te dają wyniki.

Ponieważ i mnie między innymi spotkała tego rodzaju „nagroda" za wielkie trudy i nakłady przy doprowadzeniu pustkowia do godności łowiska, nietylko jestem przeciwny ogłaszaniu w podobnych warunkach szczęśliwej historji racjonalnej gospodarki łowieckiej, lecz przed czemś podobnem przestrzegam innych, jako przed bardzo dotkliwem w skutkach niebezpieczeństwem.

Raczej — konspirujmy się jak najtroskliwiej i planowo.

Dopóki przetargi będą odbywać się w zamkniętych kopertach, a moralne zasługi poprzedniego gospodarza łowiska nie będą należycie oceniane przez zagwarantowanie mu dalszej możności dzierżawy po cenie słusznej i nie wyśrubowanej,*) dopóki system wydzierżawiania państwowych terenów na łowiska nie ulegnie zasadniczej zmianie — o sukcesach i wynikach własnej pracy hodowlanej na terenach: cicho, sza!

JEDEN Z DZIERŻAWCÓW.

*) O ile redakcji wiadomo, dyrekcje lasów państwowych lojalnie wykonującym kontrakty dzierżawne myśliwym oddają tereny na dalszy okres na tych samych warunkach. *(Przyp. red.)*

Ś. P. SZAMBELAN STANISŁAW SZYCZEWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Jeszcze jedna rzetelna dusza myśliwska osierociła nas!... Odszedł w lepsze zaświaty jeden z tych coraz rzadszych rycerzy z pod zielonych sztandarów — prawdziwie dawnego autoramentu. Mając zaszczyt od czasów powojennych, rokrocznie korzystać z ujmującej gościnności pp. Szambelanostwa w ich poleskiej posiadłości, w uroczym Tomaszgrodzie (ziemi Sarneńskiej) — mogłem podziwiać ten prawdziwie kresowy hart ducha, jaki emanował z całej „mentalności" czcigodnej postaci zmarłego!

Mówię: podziwiać, gdyż obok zalet „venatorskich" — nie można było nie schylić kornie czoła wobec aureoli cnót prawdziwie chrześcijańskich, wobec głębokich zasad humanitaryzmu, promieniujących na całą ludność okoliczną, na wszystkich, którzy mieli szczęście stykać się z sercem gołębiem Zmarłego!

Nie zapomnę nigdy owej atmosfery miłości powszechnej, tego nimbu uwielbienia, otaczającego szlachetną postać — rzekłbyś, żywe uplastycznienie dobroci, pogody i miłosierdzia, osiadłych w zaciszu wiejskiem — z dziada pradziada — przodków naszych!...

Tych ziemian z „pół dzikich", co to ongiś pod Chocimem, Cecora, albo w odsieczy wiedeńskiej na czole husarji skrzydlatej ochoczo tak w bój srogi biegli!

Zawsze w obronie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, wiary ojców swoich — sprawnie stając... a w międzyczasie... w chwilach wolnych od trosk publicznych — „uciesze łowieckiej" ze staroświeckim animuszem się oddając...

Będąc przytem zawsze skromności nadzwyczajnej, nigdy nie szukali rozgłosu i stujęzycznej famy...

W tych samych cichych dworkach naszych rubieży, zaradzały się też powstania narodowe 31 i 63 roku — później rozkwitały w nich jedyne ostoje polskości kresowej.

Jedną z podobnych indywidualności był niezawodnie ś. p. Stanisław Szyczewski, prawdziwy „szlachcic na zagrodzie — równien wojewodzie".

... O Nim to, nawet po okresie „bezkrwawej" rosyjskiej rewolucji — z ust prymitywnej ludności pole-

skiej — tej, co pod wpływem bestjalskiej agitacji rabowała obszarników i ich osiedla podczas bolszewickiego przewrotu — słyszeć można było!

„Takoho panka, jak tomaszgrodzkij nasz didycz — ne najdesz na świci! — Sprawedływyj, piekny] czołowik" (Takiego jak tomaszgrodzki dziedzic nie znajdziesz chyba na świecie — sprawiedliwy, doskonały człowiek)...

Zresztą pan Stanisław, pomimo wszystkich krzywd wyrządzonych Mu, jak i tylu innym w tym okresie, przez czerń nieobliczalną, żywił jednak zawsze jednaki, gorący sentyment do nich — przywiązania, miłości niemal.

Ileż to razy, bywało, przy zacisznym kominku prastarej siedziby, po powrocie z toków, naganki, podjazdu czy innego polowania — mawiał do mnie:

— „Dobrzy i zacni ludziska, panie Adamie, ci nasi chłopi polescy! — co mogli „ratowali" z mojej „krestencji" — a że „ekscesanci" trafiali się śród nich, to winna temu ciemnota, w której ich trzymały rządy carskie!.. Robiliśmy co mogli — dla oświaty, zakładali szkółki, Macierze — lecz groźna ręka miejscowego „sprawnika" (naczelnik powiatu), „stanowowo prystawa" (rodzaj komisarza policyjnego) zawsze nad nami wisiała!.. Czuj duch! — najmniejszy „donos" (denuncjacja) do gubernatora o „polskich miatieżnikach, (rewolucjonistach) i... mogłeś w mig, bracie, powędrować „gdzie pieprz rośnie"... Ale, żadnej urazy do nich nie powinniśmy żywić!

— Bo cała złota młodość nasza — wszystkie pokolenia Ojców i Dziadów wyrosły z pracy i znoju rąk owych „diad'ków" (chłopów) „szareńkich, ciemnieńkich"! — a przeto bardzo kochanych!.. Bo też niejednego z nas „wyhodowała" i „wynosiła" niania staruszka, z tej samej „kurnej" chatynki pochodząca!...

— Oni bez nas — może i obejdą się, ale my bez nich — nigdy!...

— Przebaczać im — miłować ich należy!... Szanować ich wiarę, obyczaje! — tembardziej teraz, kiedy to i oni, dzięki Bogu, już pod skrzydłami Orła Białego, obywatelami polskimi są!..."

Czyż słowa podobne zacnego ziemianina nie określają dobitnie etycznego całokształtu Jego świetlanej sylwetki duchowej!?

A ileż to razy „dyszkurowaliśmy" na ten temat z Nim, w patrjarchalnym, starym dworze!...

Minęła rewolucja rosyjska — jak minął Rzym Cezarów, „czarna zaraza" średniowiecza — jak minęły uciski carskie, wojny, głód i kataklizmy przeróżne!...

Miał ten ogrom szczęścia zacny dziedzic Tomaszgrodu — powrotu na ojcowskie zgliszcza!...

I znowu ten sam znicz ośrodka kultury polskiej, pod Jego i czcigodnej Małżonki egidą zajaśniał, jak dawniej na szmacie całym kraju naszego.

I znowu echa tych samych przeżyć łowieckich, które rycerskim antenatom kiedyś, jako wino wyleżałe, jako miód szczerozłoty do głowy biły — stały się Jego i syna udziałem...

Dajże Boże i św. Hubercie sympatycznemu spadkobiercy — z miłą małżonką stać się łącznikami zacnych i myśliwskich tradycyj ś. p. Ojca i długich szeregów przodków.

Na chwilę nie wątpię, że to się stanie — że to już się stało!

Jakąż naprawdę straszliwą tragedję przeżywał ś. p. Szambelan w ostatnich latach swego bolesnego żywota!...

On, zapalony, dzielny myśliwiec — On, tak gorąco miłujący pierwotną poleską przyrodę — prawie że zaraz po wojnie europejskiej — tknięty został *in sumo grado* rozwiniętym artretyzmem, którен tak okropnie opanował cały organizm — że ostatecznie unieruchomił zupełnie.

Ileż to razy wówczas słyszałem od Niego: „Kiedyż to Pan Bóg Najwyższy zmiłuje się nademną i powoła do Siebie nareszcie!"

Wyrywał Mu się ten jęk protestu — kiedy cierpienia i męka nie do zniesienia stawały się w codziennym życia bolesnego trybie....

Ale pozatem — cechowały Go zawsze jednaka pogoda, uprzejmość i dobroć niezmienna — względem wszystkich.

Nigdy nie można było zauważyć buntu ducha, „rewolty" przeciw losowi...

Jednakże — ileż to razy zapewne podczas swych długich, długich nocy bezsennych — w czasie cierpień i bólów rwących — ileż to razy śnić Mu się musiały lata ubiegłe z ich myśliwską radością — czasy, ongiś przeżyte, prześnione!...

A wówczas — dla Niego na zawsze zamarłe!...

Śniły Mu się owe czuwania przy ognisku, podczas toków wiosny czarodziejki — ciche elegje ciągu słonek — zatapiania się w bezmiary błotnych obszarów w pogoni za „ciecierukami" i opasłemi dubeltami — zimowe wyczekiwania z mroków ośnieżonej świerczyny dzików brutali i łosi brodaczy! — cały ten przepych niezrównanych chwil obcowania z przyrodą — który matczyna ręka wszechstworza — Myśliwemu tylko darować może!

Ale — *fiat voluntas Tua!* — szeptała do Niego rezygnacja święta.

Na drugi dzień, po katuszach ciężkich — przezacny ten Nestor naszego łowiectwa, z jakąż to rozbrajającą ciekawością rozpytywał się tych „szczęśliwców", którzy „mogli" jeszcze polować, o najdrobniejsze szczegóły zdobycia każdego trofeum.

Doprawdy płakać się chciało nieraz, podczas podobnych „indagacyj" — z taką dobrodusznością, z takiem poddaniem się woli Bożej zadawanych!

Jak żywą widzę czcigodną postać — pomimo wszystko jeszcze tak dziarską, a nawet czasami wesoło wyglądającą...

Widocznem się stawało, że „dusza myśliwska" — jedyne ukojenie z wspomnień myśliwskich czerpała! Że, jako perły drogie — jak łza szczęścia ludzkiego czyste — były dla Niej skarby podobnie czarownych „reminiscencyj".

Jakżeż mi żal bywało — „najbiedniejszego"! — bo pozbawionego szczęścia upajania się naturą i nie mogącego polować już myśliwego!...

Zostawiłeś po sobie testament złotogłośny, niezłomny, ś. p. Szambelanie St. Szyczewski!...

Uczyłeś nas, jak należy kochać tę świętą ziemię naszą — albowiem, mając możliwość leczyć się „po miastach" — zdala od domu rodzinnego — wiernym mu pozostałeś, — na krótkie zaledwie chwile zeń się wydalając.

Kochałeś ten lud dziki, tak grzeszny — a tak nam bliski!

Kochałeś smutną krasę Polesia starego!

Owa „pasja" łowiecka, ów rycerski pierwiastek atawistycznych skłonności venatorskich, stanowiły poniekąd jedyny promień słoneczny — całego życia Twego!...

A gdy go zabrakło — wspomnieniem zagasłych zachwytów żyłeś!...

Niechże nad grobem Twoim w ojcowskim Tomaszgrodzie płaczą brzozy rojstów puszczańskich — niech Ci się śni pieśń czarowna głuszca — magja ciągu słonek kołysze. Wszystkie śliczności ziemi naszej polskiej niech koją duszę i ciało Twe zbolałe! Śpij, odpoczywaj po trudach, mękach i znojach życia. Przezacny Obywatelu! — Duszo myśliwska *de re et nomine*. Dni Twe były tak ciężkie — niechże ziemia Ci lekką będzie — Czcigodny Przyjacielu niezapomniany!....

ADAM RZEWUSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Protokół posiedzenia Zarządu Związku w dniu 2 grudnia 1933 r.

Obecni pp.: Prezes gen. Kazimierz Sosnkowski, Wiceprezesi: gen. Kazimierz Fabrycy, płk. Konstanty Chłapowski, inż. Leopold Skulski, Członkowie Zarządu: red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, inż. Jan Grabowski, Witold Kiltynowicz, inż. Herman Knothe, dr. Adam Lardemer, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, Władysław Słonczyński, Wacław Szperling, inż. Kazimierz Tołłoczko, mec. Aleksander Tallen-Wilczewski i Jan Żukotyński; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Porządek obrad był następujący:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Zarządu z dnia 8-go lipca r. b.
2. Sprawozdanie finansowe Związku i wydawnictwa „Łowiec Polski".
3. Przyjęcie nowych Stowarzyszeń.
4. Wykreślenie Stowarzyszeń, zalegających w opłacie składek członkowskich.
5. Rozpatrzenie wniosków o odwołanie delegatów powiatowych.
6. Sprawa nowelizacji prawa łowieckiego.
7. Rozpatrzenie wniosków o odznaczenia łowieckie.
8. Conseil International de la Chasse.
9. Sprawy bieżące.
10. Wnioski.

Protokół posiedzenia Zarządu Związku z dnia 8 lipca r. b. zatwierdzono bez zmian.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienia nieobecności na posiedzeniu Zarządu pp.: Juljusza hr. Bielskiego, Józefa Bleszyńskiego, Marjana Chrzanowskiego, Wojciecha hr. Gołuchowskiego, Henryka Górskiego, dr. Jana Łukowicza, min. Czesława Michałowskiego, inż. Wacława Paczkowskiego, inż. Adama Romanowskiego, Bolesława Świętorzeckiego, Franciszka Unruga i r. Józefa Żenczykowskiego.

Sprawozdanie finansowe Związku i „Łowca Polskiego" za czas od 1 stycznia do 30 listopada 1933 r. — przedstawił przewodniczący Wydziału Wykonawczego p. Szperling. Zadłużenie w ciągu tych jedenastu miesięcy zmniejszyło się o zł. 10.857,12 i na dzień 1 grudnia r. b. wynosi zł. 5.039,08. Niezależnie od tego do zadłużenia Związku doliczyć należy dług na rzecz funduszów depozytowych w sumie zł. 2.608,87. Ogólny więc niedobór wynosi złotych 7.647,95. Sprawozdanie finansowe dołączone zostało do protokółu.

P. Prezes gen. Sosnkowski, w imieniu Zarządu, złożył p. Szperlingowi podziękowanie za sprawne i oszczędne gospodarowanie funduszami Związku.

Zarząd uchwalił zasadę, iż nie należy ustawać w energicznem ściąganiu składek; w każdymbądź razie wydatki bieżące Związku winny być pokrywane z dochodów bieżących.

Zarząd polecił kierownictwu „Łowca Polskiego" przedłożenie na najbliższem posiedzeniu Wydziału Wykonawczego wniosków, dotyczących sposobu ulepszenia pisma.

W łączności z częściowym udziałem Związku w kosztach lokalu, Zarząd polecił Wydziałowi Wykonawczemu przestudjowanie sprawy przekształcenia Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Oddział warszawski Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, oraz przedłożenie odpowiednich wniosków na najbliższem posiedzeniu Zarządu.

Zgodnie z wnioskami Wydziału Wykonawczego, Zarząd zaliczył w poczet Stowarzyszeń Związkowych:

1. Rembertowskie Kółko Łowieckie „Czapla" w Warszawie.
2. Kółko Łowieckie w Porębie k/Zawiercia.
3. Koło Myśliwskie Urzędników Ministerstwa Rolnictwa w Warszawie.

Po odczytaniu listy Stowarzyszeń, zalegających w opłacie składki członkowskiej za okres roczny i dłuższy, Zarząd Związku, na wniosek Wydziału Wykonawczego, uchwalił skreślić z listy Stowarzyszeń Związkowych za niewypełnianie obowiązków statutowych (§ 14 statutu):

1. Kółko Łowieckie w Aleksandrowie k/Łodzi.
2. Kółko Myśliwskie „Raróg" w Dąbrowie Górniczej.
3. Podlaskie Kółko Myśliwskie w Janowie Podlaskim.
4. Polskie Towarzystwo Myśliwskie i Hodowli Zwierzyny Łownej w Mławie.
5. Towarzystwo Łowieckie na powiat Radomskowski w Radomsku.
6. Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Tomaszowie Lubelskim.
7. Włodawskie Towarzystwo Łowieckie we Włodawie.
8. Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa im. Św. Huberta w Wojkowicach Komornych.
9. Kółko Myśliwskie „Dziewanna" w Warszawie.
10. Towarzystwo Racjonalnego Polowania w Zamościu.

Zarząd Związku przyjął do wiadomości oświadczenie p. płk. Chłapowskiego, że Wielkopolski Związek Myśliwych wpłaci zaległą składkę na rzecz Związku w terminie do 1 kwietnia r. 1934.

Przyjęto również oświadczenie p. dr. Lardemera, że Małopolskie Towarzystwo Łowieckie dołoży starań, aby zaległą składkę na rzecz Związku uregulować możliwie najprędzej.

Zarząd Związku, przychylając się do próśb Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa i Ochrony Zwierzyny Łownej w Sieradzu, oraz Koła Racjonalnego Łowiectwa w Łapach, prolongował termin wpłaty składki członkowskiej, przypadającej od tych Stowarzyszeń za rok 1933.

Zarząd Związku uchwalił tytułem subsydjum dla Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich — umorzyć przypadającą od tego Stowarzyszenia składkę członkowską za lata 1931 i 1932, w sumie zł. 225.

Zarząd Związku, przychylając się do prośby Ostrołęckiego Towarzystwa Łowieckiego, postanowił rozłożyć zaległą składkę od tego Towarzystwa w sumie zł. 300 — na 6 rat miesięcznych z warunkiem regularnego wpłacania składki bieżącej.

Zarząd skreślił z listy Stowarzyszeń Związkowych Mińsko-Mazowieckie Towarzystwo Łowieckie i Ochrony Zwierząt w Mińsku Mazowieckim, wobec likwidacji tego Stowarzyszenia.

W sprawie działalności delegatów powiatowych wypowiedzieli się pp.: płk. Chłapowski, inż. Tołłoczko, inż. Skulski, prez. Szperling i inż. Knothe.

Zarząd Związku polecił Wydziałowi Wykonawczemu zajęcie się segregacją delegatów powiatowych i przedłożenie na następnem posiedzeniu Zarządu wniosków o odwołanie nominacji delegatów, którzy nie przejawiają żadnej działalności.

P. płk. Chłapowski zgłosił wniosek o uzupełnienie regulaminu delegatów powiatowych. Redakcję tego uzupełnienia nadeśle Wielkopolski Związek Myśliwych wraz z wykazem delegatów, zakwalifikowanych do odwołania.

Zarząd Związku, na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, nadał:

1) Złoty Medal Zasługi Łowieckiej.

Cyrylowi Czarkowskiemu - Golejewskiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny i organizacji łowiectwa;

dr. Michałowi bar. Moysa-Rosochackiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Stefanowi hr. Badeniemu — za zasługi na polu literatury łowieckiej;

Władysławowi Garapichowi — za zasługi na polu piśmiennictwa łowieckiego;

Hieronimowi hr. Tarnowskiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

inż. Arturowi Groetschelowi — za zasługi na polu hodowli zwierzyny oraz na polu piśmiennictwa łowieckiego;

dr. Aleksandrowi Małaczyńskiemu — za zasługi na polu organizacji łowiectwa;

Stanisławowi Morawetz'owi — za zasługi na polu organizacji łowiectwa;

Adamowi hr. Stadnickiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Edwardowi Rudzińskiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

2) Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Janowi Marcinkowowi—za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Edmundowi Stawowczykowi — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Zarząd Związku, na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych, nadał:

1) Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

gen. Kazimierzowi Raszewskiemu — za zasługi na polu organizacji łowiectwa;

Franciszkowi Unrugowi — za zasługi na polu organizacji łowiectwa oraz za działalność hodowlaną;

2) Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Adamowi Chrastakowi, elewowi leśnemu, za pełną poświęcenia i skuteczną walkę z przestępstwami łowieckiemi; Chrastak odznaczony już był w r. 1932 Bronzowym Medalem Zasługi Łowieckiej.

Zarząd Związku, na wniosek delegata w powiecie Radom, p. Wł. Żarnowskiego, nadał Złoty Medal Zasługi Łowieckiej Izaakowi Schützerowi, p. o. starosty grodzkiego i powiatowego w Radomiu, za specjalną pieczę nad łowiectwem, popieranie działalności delegatów powiatowych oraz energiczne i skuteczne ściganie przestępstw łowieckich.

P. gen. Fabrycy zakomunikował, że powstała myśl utworzenia stacji doświadczalnej dla broni i amunicji myśliwskiej przy stacji doświadczalnej dla broni i amunicji wojskowej w Rembertowie. Byłoby bardzo pożądane, aby Związek wziął udział w urządzeniu i prowadzeniu stacji.

P. Lisowski inicjatywę tę uważa za bardzo szczęśliwą, gdyż brak takiej stacji dawał się dotąd dotkliwie odczuć. Dlatego też bardzo jest pożądany udział Związku w organizacji stacji doświadczalnej.

P. Gędziorowski również wniosek ten gorąco poparł.

Zarząd Związku wniosek p. gen. Fabrycego przyjął z wdzięcznością i upoważnił Wydział Wykonawczy do porozumienia się w tej sprawie z inicjatorami.

P. Prezes gen. Sosnkowski podał do wiadomości, iż Rząd wyraził zgodę na urządzenie zjazdu Conseil International de la Chasse w Warszawie z wiosną r. 1934. Termin zjazdu wyznaczony został na dzień 18 kwietnia.

Przygotowania organizacyjne są już rozpoczęte; prowadzi je, zgodnie z uprzednio powziętą uchwałą, p. M. hr. Potocki. Na zjeździe Conseil I. C. wygłoszone będą referaty, z których część przypadła do opracowania Polsce.

W związku z ustaleniem terminu zjazdu C. I. C., Zarząd uchwalił zorganizować pokaz trofeów Łowiec. w czasie zjazdu.

Projekt organizacji pokazu opracował p. inż. Knothe.

P. płk. Chłapowski zwrócił uwagę na konieczność wyjednania u władz całkowitego zwolnienia od kosztów za przewóz koleją eksponatów na pokaz. Nadto p. płk. Chłapowski uważa, że tarcze, jako najwyższe nagrody na pokazie, powinny być tylko złote, nie zaś złote, srebrne i bronzowe.

W dyskusji zabierali głos jeszcze pp.: inż. Knothe, Gędziorowski i płk. Chłapowski.

Zarząd Związku uchwalił przyjąć projekt p. inż. Knothego, jako główną podstawę organizacji pokazu, pozostawiając Komitetowi pokazu ustalenie szczegółów i opracowanie kalkulacji. Komitetowi pokazu polecono starania o jak najdalsze zniżki kolejowe, przyczem upoważniono Komitet do ewentualnego pokrycia kosztów przewozu eksponatów.

Do Komitetu Organizacyjnego Pokazu Trofeów Łow. Zarząd powołał pp.: gen. Fabrycego — jako przewodniczącego, oraz inż. Knothego i Skrzypka, z prawem kooptacji dalszych członków.

Przewodniczący Wydziału Wykonawczego p. Szperling podał do wiadomości Zarządu, że, zgodnie z uchwałą Walnego Zgromadzenia, Wydział Wykonawczy powołał do życia ścisły Komitet redakcyjny „Łowca Polskiego" w osobach pp.: red. Garczyńskiego, Dylewskiego i Zabiełły.

Na tem porządek obrad został wyczerpany.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU WOŁOŻYN.

Powiat poznański o powierzchni 127.250,41 ha posiada 257 obwodów łowieckich z bardzo dobrym zwierzostanem. W ubiegłym roku przeprowadzona statystyka wykazała następujący stan zwierzyny raciczkowej: sarn obojga płci 2825 sztuk, jeleni 180 szt., danieli 70 szt., dziki — przechodnie.

Bażanty, poza pięcioma bażantarniami, zarejestrowanemi i wzorowo prowadzonemi, znajdują się w dość znacznej ilości na wszystktich terenach łowieckich. Stan kuropatw i zajęcy był w sezonach ostatnich również bardzo dobry.

W ubiegłym roku skonstatowano nieznaczne tylko choroby u sarn i zajęcy.

Poza Wielkopolskim Związkiem Myśliwych istnieje jeszcze 3 stowarzyszenia myśliwskie z ilością 182 członków, z których zaledwie kilku należy do W. Z. M.

Kart łowieckich na rok kalendarzowy myśliwski 1932-33 wydane zostało przez:

starostwo poznańskie 3 letnich 112, rocznych 27, 14-sto dniowych 9, bezpłatnych dla straży 5;

miejski urząd bezp. publ. 3 letnich 134, rocznych 33, 14-sto dniowych 1, bezpłatnych dla straży 17.

Wielką bolączką jest grasowanie kłusowników, z którymi walka jest bardzo utrudniona ze względu na dużą ilość osiedli. Kary, niestety, stosowane są zbyt łagodnie. W roku ubiegłym policja państwowa odebrała broń i ubitą zwierzynnę 15 kłusownikom, a prywatna straż leśna i łowiecka przychwyciła 72 kłusowników i wnykarzy.

W obrębie powiatu znajdują się tereny państwowe, gospodarowane przez dyrekcję lasów państwowych.

HENRYK GÓRSKI,

delegat P. Z. S. Ł. na pow. Poznań.

Z POWIATU POZNAN.

Na czterodniowem, dorocznem polowaniu w maj. Pierszaje w końcu listopada 1933 r. padło, przy udziale 10 myśliwych: zajęcy szaraków 210, bielaków 8, lis 1, bażantów 2, cietrzewi 2, jarząbków 38 i różnych 1, razem 262 sztuki.

Gdy się czyta o ostatnich rekordach, osiągniętych w Kieleckiem i Poznańskiem, powyższe cyfry muszą się wydać dziwnie nikłe i mizerne, a jednak jest to wynik wyjątkowo pomyślny na naszych Kresach, gdzie zając należy do rzadkości, bo warunki i ludzie czyhają na jego zgubę.

Podając więc wykaz powyższy do „Łowca Polskiego", pragnę zaznaczyć, że szczęśliwy rezultat zawdzięczać należy przedewszystkiem zorganizowanemu od lat kilku gospodarstwu łowieckiemu, wydzierżawieniu wszystkich przyległych gruntów włościańskich (2000 ha), stosowaniu obfitej paszy zimą, oraz tępieniu szkodników i prześladowaniu kłusowników.

Dzięki wyjątkowej energji starosty powiatu wołożyńskiego p. Wiesiołowskiego, czynnej i owocnej pomocy policji, oraz stosowaniu surowych kar sądowych, kłusownictwo zmniejszyło się znacznie. Karty na broń odbierane są osobom ukaranym, nowe wydawane oględnie w porozumieniu z delegatami powiatowymi P. Z. S. Ł.

Ochraniana zwierzyna rozmnaża się w całym powiecie wyjątkowo dobrze i pomyślnie.

Stan sarn od lat kilku, dzięki zmniejszeniu się ilości wilków (co roku pada we wschodniej części powiatu około 10—15 tych drapieżników) potroił się.

Dziki rozmnożyły się ogromnie dzięki specjalnej ochronie, zastosowanej od dawna przez właścicieli graniczących ze sobą majątków Pierszaje i Wołożyn (25.000 ha), w których maciory z warchlakami są ochraniane, nie strzelane i zimą karmione.

Rysi, których nie było przez szereg lat, kręci się sztuk 4—5. Pojawił się również jeden bóbr, samotnik.

Zajęcy było w ubiegłym roku dużo, a pomimo mokrego lata nie zauważono chorych na motylicę. Ubite na polowaniach sztuki okazały się zdrowe.

Z ptactwem było gorzej, gdyż ostatnia wiosna okazała się zgubną. Dzięki silnym przymrozkom, a następnie niewiadomej epidemji, wiele gniazd się zmarnowało, a wywody jarząbków np. liczyły przeważnie po 1—2 młodych.

Jedynie głuszce i cietrzewie rozmnożyły się i ilość ich stale wzrasta.

Ciągi słonek wiosną były więcej, niż marne, jesienią również mniej ich widziano.

Kaczek w naszych stronach jest bardzo mało.

BENEDYKT TYSZKIEWICZ,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Wołożyn.

Z POWIATU PŁOŃSK.

Powiat płoński (woj. warszawskie) przedstawia obszar 132900 ha. i posiada 82000 mieszkańców. Od zachodu naturalną granicą powiatu jest Wisła, teren naogół płaski i równy, z kilkunastoma kompleksami lasów mniejszych i jednym większym. Charakter ludności — wybitnie rolniczy. Zasadniczą zwierzyną łowną są zające i kuropatwy, pozatem znajduje się 200 sztuk sarn, te jednak nie są zazwyczaj przez myśliwych strzelane, jako jedyna ozdoba lokalnego zwierzostanu. W roku bieżącym stan zajęcy jest bardzo dobry, przynajmniej dwukrotnie lepszy, niż w roku ubiegłym. Można to przeważnie zaobserwować w obwodach większej własności, których właściciele polują racjonalnie. Na terenach chłopskich przez strzelanie na pomyka i przez ciągłe spacery ludzi i psów, stan jest wybitnie gorszy. Kuropatw naogół dużo.

Obwodów łowieckich własnych zarejestrowano 115 o przestrzeni 32000 ha. i obwodów wspólnych 123 o przestrzeni 39000 ha. Kart łowieckich wydano 225 (w roku 1932—244).

Pracy hodowlanej we właściwem tego słowa znaczeniu nie obserwuję, prócz zakładania kilku drobniejszych bażantarni. Jeden z myśliwych — hodowców wpuścił w tym roku do lasu 30 królików dla rozmnożenia *). Zwierzyny tej w naszym powiecie dotąd nie było zupełnie. Stan walki z kłusownictwem z roku na rok przedstawia się lepiej. Obecnie starostwo czyni wszelkie wysiłki dla zgnębienia tej plagi. Policja, będąc przeciążona pracą, ogranicza się do słabej pomocy. Niestety, nie wszyscy myśliwi strzegą dość energicznie swoich terenów.

Uważałbym za wskazane, aby starostwo po Nowym Roku nie rozsyłało wydanych i prolongowanych kart łowieckich po gminach, a wyznaczyło jeden dzień i godzinę dla wszystkich posiadaczy tych kart, aby je odebrali bezpośrednio w starostwie. Tem samem nastąpiłoby ogólne zebranie wszystkich myśliwych z terenu powiatu (przewiduje to paragraf 1 regulaminu dla delegatów), gdzie możnaby się wzajemnie zbliżyć, informować i podnosić poziom etyczny tych, co chcą tylko strzelać i zabijać.

ANTONI TARNOWSKI,
delegat P. Z. S. Ł. na powiat Płońsk.

POWAŻNA STRATA.

(Operacja żubra w lasach pszczyńskich).

Rzadkiej i ciekawej operacji dokonano w ostatnich dniach w zwierzyńcu w Pszczynie. W czasie rui stary, złośliwy byk, odpędzając rywala, pobódł 2-letniego żubra tak dotkliwie w brzuch, że z otwartej rany wydobywała się zawartość żołądka. Biedne zwierzę z szalonego bólu skryło się w najgęstsze ostępy leśne i dopiero po trzech dniach je odnaleziono.

Ciężka rana, zadana w tak ważny organ jak żołądek, wymagała zastosowania skracającej męki zwierzęcia kuli, jednak wzgląd na rzadkość gatunku, którego niezbyt już wielką ilość posiadamy w Europie, przemawiał za wykorzystaniem wszelkich środków ratunku przed zgładzeniem nieszczęśliwego zwierzęcia.

Z trudem udało się żubra umiejscowić w ogrodzeniu o długości 6 m., a szerokości 4,6 m., zbudowanem z silnych słupów dębowych i desek, z poza którego można było pacjenta obserwować.

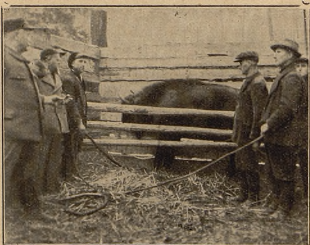
Sprowadzony dr. Leśniowski, powiatowy lekarz weterynarji w Pszczynie, po zbadaniu orzekł, co zresztą było do przewidzenia, że z otwartym żołądkiem zwierzę żyć nie może, lecz po długich męczarniach napewno zginie, operacja zaś nie pogorszy sytuacji, a może być, że po zaszyciu rany żołądka, dzięki nadzwyczajnej sile żywotnej i młodemu wiekowi, żubr wyzdrowieje. Równocześnie dr. Leśniowski oświadczył swą gotowość do wykonania tak potrzebnej operacji. Poszukiwania w literaturze, wobec rzadkości podobnych wypadków, nie dały wskazówek, jaki skutek odniosłoby zastosowanie narkozy, wobec czego dr. Leśniowski zdecydował się operację przeprowadzić bez narkozy, lecz naturalnie przy odpowiedniem skrępowaniu pacjenta.

Po przygotowaniu drągów, lin, łańcuchów, rzemieni i golującej się w kotle wody, przy pomocy b. hodowcy ogierów, Schwarzera, personelu leśnego i 15-tu robotników leśnych rozpoczęto krępowanie byka. Jeden z robotników wdrapał się na ogrodzenie 2,5 m. wysokie, by stamtąd zapomocą rozwidlonej tyki zarzucić na rogi żubra pętlicę z grubej liny.

Już przy tym wstępie dała się odczuć olbrzymia siła króla puszczy. Zbolałe i schorowane zwierzę, przewidując, że dzieje się coś niezwykłego, mimo widocznego bólu, przybrało gotową do ataku postawę, momentalnie runęło przodem potężnego swego cielska w górę, z nastawionemi w kierunku tyki rogami, a opadłszy darło potężnemi racicami grunt pod nogami, miotając krwawe błyski ócz. W całej pełni ukazuje się wrodzona siła ataku i obrony zwierzęcia: wieniec mocnych ,krótkich rogów, osadzony na małej stosunkowo do muskularnego karku głowie i również potężne, krótkie, muskularne nogi, zakończone ostremi racicami. Mrowie przejmuje na myśl, coby się stało, gdyby jakaś żywa istota dostała się pod racice rozjuszonego byka.

Po dwukrotnem zarzucaniu udało się utrafić i pętlica objęła rogi. Szybki ściąg pętlicy został momentalnie dokonany. Linę przeciągnięto w odpowiedniej wysokości przez szparę ogrodzenia i kilku robotników przyciąga nią żubra w kąt, zarzuca pętlicę drugiej liny na rogi, a dla pewności nawet łańcuch.

Żubr zapiera się filarowatemi nogami i próbuje zerwać krępujące więzy, waląc rogami w ścianę ogrodzenia aż drzazgi lecą.



Chory żubr, umiejscowiony w zagrodzie — przed dokonaniem operacji.

Najważniejszy moment, t. j. umiejscowienie żubra w kącie ogrodzenia, udał się. Niezwłocznie wykonuje się drugi szczegół t. j. przyparcie żubra bokiem do ściany.

Trzy drągi o grubości 10 cm., długie na 4 m., wsunięte jednemi końcami w otwory ogrodzenia z oparciem o słup, umieszczone ponad sobą, na wysokości od kolan niemal do grzbietu żubra, próbują robotnicy przysunąć drugiemi końcami do ściany.

*) Zaprowadzanie hodowli królików jest szkodliwe dla gospodarstwa rolnego i leśnego, na co zwracamy uwagę *(Przyp. red.)*.

Jedno kopnięcie żubra, a drągi odpadają, jak zapałki.

Dopiero przy pomocy lin i pomocniczego, poprzecznego drąga udało się równocześnie wszystkiemi trzema drągami przycisnąć żubra do ściany tak dalece, że ruchy jego zostały ograniczone.

Założenie w nozdrza pacjenta specjalnego pierścienia celem osłabienia jego oporu, pomimo kilkakrotnych prób, narazie nie udaje się z powodu niebezpieczeństwa zgruchotania ręki robotnika w razie przyciśnięcia jej przez żubra pyskiem do desek. Dopiero po przeciągnięciu liny wpoprzek przez pysk i ujęciu go w formę wędzideł, można było założyć pierścień.

Z ogromną ostrożnością zakładają robotnicy systematycznie, noga po nodze, rzemienie ze sprzączkami na pęciny, co po długich trudach nareszcie się udaje.

Przewleczenie liny przez specjalne pierścienie u rzemieni, opasujących pęciny i powalenie żubra przez skupienie wszystkich nóg jest już dziełem tylko chwili.

Przez pierścienie przeciąga się łańcuch, który, zamknięty kłódką, ściąga wszystkie nogi razem.

Dwie godziny trwały zabiegi, ale pacjent spokojnie i bezpiecznie dla otoczenia leży w miejscu i pozycji, dogodnych do operowania.

Dla uniemożliwienia jakichkolwiek ruchów, robotnicy liną zaczepioną o łańcuch, skupiający nogi żubra, wyprężają je, prócz tego dwóch robotników zasiada na karku, a jeden na zadzie.

Pod nozdrza, by nie zanieczyściły się słomą i w celu ułatwienia oddechu, podkłada się worek.

Po oczyszczeniu rany okazuje się, że wskutek upływu kilku dni brzegi rany, a nawet skaleczone brzegi żołądka zaczęły gnić.

Również teraz dopiero stwierdzić można rozmiar rany w żołądku. Rana jest szeroka na 4 palce.

Grube mięśnie brzucha i żebra, przy których znajduje się rana, przeszkadzają w dostaniu się do rany żołądka. Wycięcie nadgniłych, przeszkadzających części mięśni i kawałka żebra okazało się koniecznem.

Jednak mimo to naprężona i do tego śliska powłoka żołądka wymyka się z palców i uniemożliwia szycie. Kawałek sztywnej skóry na 10 cm. w kwadrat, uwiązany na sznurku i zwinięty w rulon, wpuszczony do żołądka, po rozwinięciu się podciągany sznurkiem, pozwala uchwycić igłą otwarte ściany żołądka. Jednak mimo to trudno jest tak daleko w głębi rany obracać igłą, kleszczami rozchylać trzeba mięśnie brzucha, kilkakrotnie łamią się igły, dopiero po długich wysiłkach dra Leśniowskiego cztery ściegi na żołądku są dokonane. Prócz rany w żołądku stwierdzono przebicie sieci otaczającej jelita i dwa zewnętrzne przebicia skóry w okolicy krzyża.

Gruntowne wyczyszczenie i zdezynfekowanie rany, założenie nazewnątrz gazy z watą i szwów zewnętrznych, to już zabiegi zupełnie łatwe w stosunku do poprzednich. Operacja dokonana.

Uwolniony z więzów po 4 i pół-godzinnem męczeniu, pacjent po blisko pół-godzinnem odpoczynku, wyprostowawszy ścierpnięte mięśnie, wstał z dobrą miną.

Operacja się udała, wynik zależy od siły żywotnej, popartej młodym wiekiem pacjenta.

•

Trudy okazały się jednak daremnemi, po 9 dniach żubr zakończył żywot, pokazało się bowiem, że prócz zeszytej rany żołądka były jeszcze 2 małe rany w płucach, a treść żołądka, dostawszy się zapewne jeszcze przed dokonaniem operacji między jelita, wywołała zakażenie.

•

W ostatniej chwili nadeszła wiadomość, że i 8-letni złośliwy byk, wskutek skaleczenia prącia (penis) przy przełażeniu przez płot, zabójca poprzednio opisanego, wybitnie w ostatnich tygodniach wychudły, również padł.

Obecny stan żubrów w Pszczynie wynosi 9 sztuk, a mianowicie: 3 krowy w wieku od 4—9 lat, 2 krowy-cielęta w 2-gim roku życia, 1 byk około 20 letni, 1 byk w 4-tym roku i 2 byczki

KAROL GALUS.

MIERZENIE SIŁY POWONIENIA.

Że miara czułości powonienia psa myśliwskiego i policyjnego jest rzeczą pierwszorzędnej doniosłości przy wyborze jednostek przeznaczonych do hodowli, nie trzeba chyba dowodzić.

Dotychczas czułość nosa mierzono przy pomocy odwiatru zabitego ptaka. Kładziono go w polu i przyprowadzano doń psa na smyczy. Potem kładziono ptaka w innem, nieznanem dla psa miejscu, jego zaś zwalniano ze smyczy i musiał ptaka z mniejszej, lub większej odległości zawietrzyć. Próbę tę powtarzało się z wiatrem i pod wiatr. Doświadczony myśliwy nie potrzebuje i tego. Z zachowania się młodego psa w polu umie wyciągnąć odpowiedni wniosek.



„Guerra" p. K. Kamieńskiego w zimowym treningu. Fot. właśc.

Dla tych, co ani pola, ani żywej zwierzyny pod ręką nie mają, podajemy sposób nowy, wyprobowany i zalecany przez dr. Strösse, kierownika instytutu łowieckiego w Berlinie oraz lekarza weterynarji dr. Hoelta w Selsingen. Podstawę tej metody stanowi doświadczeniem stwierdzony pewnik, że mile pachnące ciecze pies instynktownie liże, a zwłaszcza pies młody — do roku. Najlepszym okazał się roztwór ekstraktu mięsnego Liebiga, który, dzięki masowej fabrykacji, jest gwarantowanie jednolitej jakości.

W miejscu zamkniętem, dobrze przewietrzonem, wolnem od jakichkolwiek zapachów, nagrzanem do 20° C., stawia się dwa jednakowe talerze. Na jeden wlewa się roztwór Liebiga, na drugi czystą wodę, obojętnie zabarwioną na kolor roztworu. Oba płyny muszą mieć temperaturę również 20° C. Badany pies jest głodzony przez 17 godzin, dostaje tylko czystą wodę, ostatnio bezpośrednio przed próbą. Do próby dopuszcza się psa dopiero wtedy, gdy nie zdradza najmniejszego nawet pragnienia.

Siła wietrzenia jest zależna od ilości, aromatu i koncentracji przynęty. Im mniej jest ekstraktu w tej samej ilości wody, tem czulszy nos musi mieć pies, aby się dać zwabić. Przy pierwszej próbie pozwala się psu spożyć roztwór silniejszy: na spód talerza położywszy mały kawałek mięsa surowego, na to zaś nalawszy roztworu (10 cm³ wody + 1 gr. ekstraktu). Przy każdej następnej próbie roztwór się rozrzedza, zastępując przytem mięso masą coraz obojętniejszą.

Jeśli pies nie reaguje powonieniem na roztwór 1 : 35, można być pewnym, że ma wiatr do pola za słaby. Wyborny nos reaguje na stosunek 1 : 50, a przy 1 : 40 wart jest pies dalszej nad nim pracy.

Dr. Strösse ostrzega przed przecenianiem tej metody. Nazywa ją jedną stroną medalu, podczas gdy drugą stanowi ochota psa do używania nosa w polu. Najczulszy nos stwierdził dr. Strösse u suki krótkowłosej (1:50). Pointer, sprowadzony z Francji podczas wojny, reagował na 1:55, nie reagował zaś na 1:60. Wogóle prób przeprowadził dotychczas zbyt mało, aby stawiać śmiałe wnioski co do ras i typów, ma jednak nadzieję, że wielu kynologów pobudzi do dalszych badań na tem polu.

Spolszczył WŁ. KARNKOWSKI.

PŁOWY GOŚĆ... W ŁODZI.

Poobiednią lekturę przerwał mi dzwonek telefonu:

— „Tu mówi starostwo grodzkie... Chcielibyśmy zasięgnąć rady pana, jako delegata powiatowego P. Z. S. Ł., co mamy zrobić z jeleniem, którego złapano w mieście?

— „Jakto, złapano żywego jelenia w Łodzi, na ulicy?"

— „A tak, w dziewiątym komisarjacie".

— „No i co? Policja zamknęła go do paki?".

— „Tak, podobno siedzi w zamknięciu, i teraz głowimy się, co z nim począć".

— „A czy możnaby go obejrzeć?".

— „Prosimy bardzo, zaraz zatelefonuję do komisarjatu, żeby go panu pokazali, jak pan do nich zajdzie".

Wziąłem adres tego sławnego komisarjatu, taksówkę i pojechałem. Okazało się iż rzeczywiście złapano żywego jelenia i zamknięto go coprawda nie w areszcie, ale w stajni na folwarku pp. Scheiblerów, znajdującym się w samem mieście. Pojechałem tam z dwoma policjantami i zobaczyłem dużego czternastaka, zamkniętego w obszernej stajni i obdarzonego wszelkiemi wygodami, jak wodą, marchwią, koniczyną, owsem i innemi smakołykami.

Z opowiadań zarządzającego folwarkiem, jak również policjantów, którzy brali udział w tej szczególnej obławie, dowiedziałem się, że jelenia gonili po podmiejskich polach chłopi. Zdaje się, że goniono go tak od wsi do wsi i że przyszedł on z południowego zachodu. Uciekając przed ludźmi i psami, zapędził się, biedaczysko, aż pod same miasto i, widząc większą przestrzeń wolną od domów i zabudowań, uciekł na folwark pp. Scheiblerów. Tam, pod dyrektywą zarządzającego folwarkiem, zapędzono go na wysoko ogrodzone podwórze. Biedak musiał być bardzo zmęczony i wyczerpany tą gonitwą, bo odrazu położył się w kącie podwórza. Obstawiono go ze wszystkich stron wozami i zawiadomiono policję. Już się ściemniało, gdy postanowiono zamknąć go w dużej, wolnej stajni, ażeby nocą nie uciekł, obawiano się bowiem, że może mu się przytrafić jakieś nieszczęście, gdy zacznie spacerować po ulicach pomiędzy samochodami, tramwajami, linjami kolejowemi, nie mówiąc już o ludziach, którzyby go znowu zaczęli gonić.

Złapanie jelenia i zamknięcie go w stajni nie poszło łatwo i nie obeszłoby się nawet bez przelewu krwi, gdyby nie okoliczność, że teraz już ludzie chodzą ciepło ubrani i noszą kożuchy. Jeleń przycisnął jednego z policjantów do płotu i napewnoby mu zrobił krzywdę, gdyby nie był tak wyczerpany, i gdyby nie szybka odsiecz kilku silnych ludzi, którzy wspólnemi siłami byka obezwładnili i zamknęli w stajni. Była to duża, stara sztuka, o bardzo dużej rozpiętości rogów, zdobnych koronami o czterech końcach. O ile mogę sądzić z wyglądu, to musiał on przyjść raczej z zachodu, niż z południa. Wieniec nie był taki silny, jakie spotyka się w Spale, czy też w Kieleckiem, zato rozpiętość rogów była stosunkowo bardzo duża.

Po obejrzeniu byka i sprawdzeniu, że to wszystko nie bajka, ani fantazja, ale dziwna rzeczywistość, skomunikowałem się telefonicznie z Zarządem P. Z. S. Ł. Narazie także nie bardzo chciano wierzyć mej opowieści i myślano, że żartuję. Po dłuższej rozmowie postanowiono zaofiarować jelenia albo Spale, albo ogrodowi zoologicznemu w Warszawie. Przyrzeczono mi, że na drugi dzień otrzymam odpowiedź, kto go przyjedzie zabrać.

Następnego ranka rozdzwoniły się telefony pomiędzy Łodzią, Warszawą, Spałą i bo ja wiem kim jeszcze. Wynikiem rozmów było postanowienie, że jelenia zabierze Zarząd Spały, przysyłając po niego klatkę i konie. Przy tych rozmowach nie obeszło się bez pewnego zabawnego qui pro quo. Mianowicie, telefonując do wyższego urzędnika w starostwie, mojego znajomego, powiadam:

— „Przepraszam, że panu zabieram czas, ale chciałem pomówić o tym zaaresztowanym jeleniu...".

— Na co tamten: „Co? — inżyniera Jelenia zaaresztowali? Nic o tem nie wiem".

Musiałem mu dopiero tłomaczyć, że ten jeleń na politechnikę nie chodził.

Po kilku dniach Zarząd Spały przysłał konie i ludzi, i jelenia zabrał. Będzie sobie mógł teraz chodzić po zaszczytnem łowisku, tylko, że to byk bywały i nie z jednej stodoły koniczynę jadał, więc gdyby mu warunki spalskie nie odpowiadały, gotów powrócić do swojej stajni w Łodzi, gdzie mu dobrze było, i gdzie napewno byłby mile widziany.

J. K.

SEALYHAM-TERRIER.

Twórcą tej rasy psów jest obecnie już nieżyjący kapitan John Edwards z Sealyham w Anglji.

Hodowca miał na celu stworzenie psa do roboty ziemnej, którego walory przewyższałyby zwykłego, powszechnie znanego jamnika.

Przez systematyczne, przeszło 50 lat trwające krzyżowanie „Dandie Dinmond" terriera z „Bull" i „Fox" terrierami osiągnięto nową, wyżej wspomnianą rasę Sealyham-terriera, która zjawiła się na wystawie po raz pierwszy w Rovercordwest dnia 5-go października 1903 roku.

Wtenczas nie były jeszcze budowa i wygląd tej rasy wyrównane. Dopiero w następnych 10-ciu latach udało się ją wyhodować do obecnej formy.



Wzorzec Sealyham-terriera.

Sealyham-terrier należy do rodziny psów szorstkowłosych i osiąga wysokość 20—30 cm. przy wadze 8—12 kg. Długa i gęsta jego sierść jest biała, na głowie posiada on jednakowoż w częstych wypadkach szare, szarobrunatne, albo czarne łatki, jakie znamy u foxterriera. Tułów Sealyham-terriera jest w stosunku do krótkich nóg olbrzymi, a budowa bardzo silna, jednem słowem jest to mały pies o olbrzymiej masie, pełny groteskowej oryginalności.

Z natury jest on bardzo odważny i mądry, pełen czułości i przywiązania do swego pana, a wobec wielkiej czujności jest wymarzonym psem domowym.

Oryginalny wygląd uczynił go nawet u angielskich pań bardzo modnym, dżentelmeni natomiast używają go do celów łowieckich na borsuki, chomiki, wydry i lisy.

U nas jest on jeszcze bardzo mało znany i uważany jako pies luksusowy.

LEON LAMLA.

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—). Od dłuższego czasu w okolicach Nakla grasowała banda kłusowników. Dwóch głównych przywódców tej bandy zatrzymał leśniczy Wilert, odbierając im broń i składając odpowiednie doniesienie władzom policyjnym.

Kłusownicy Jernaczyk i Dudzic zostali aresztowani, a sąd w Wyrzysku skazał Jenarczyka na 3 miesiące, a Dudzica — na 2 miesiące więzienia.

(—jb.—). W lesie koło Kopców (pow. mogileński), podczas obławy, ujęto na gorącym uczynku kłusownika Czesława Kwiatkowskiego. Aresztowanego oddano do dyspozycji władz sądowych. Broń i ubitą zwierzynę — skonfiskowano.

DOBRE I ZŁE.

(Wycinki z prasy fachowej).

Wprowadzając powyższą rubrykę, mamy na myśli treściwy przegląd tych wiadomości, poglądów i projektów, odznaczających się swą oryginalnością, nowością lub aktualnością, które zasługują na szersze rozpowszechnienie, lub też wymagają sprostowania, albo wręcz ostrej odprawy. *REDAKCJA.*

— W dodatku do „Ech leśnych" p. t. „Niwa leśna" Nr. 12 (grudzień 1933 r.) inż. Tad. Falkowski porusza znaczenie, jakie posiadają notowane przez pracujących w terenie leśników— *in statu nascendi*—spostrzeżenia przy tej pracy poczynione. Odnosi się to zarówno do wyższych w hierarchji leśników, jak nawet do gajowych. W ten sposób pozostanie ślad myśli o potrzebach, brakach, zmianach, pomysłach reform itd., mogących mieć jakiekolwiek znaczenie dla pracy zawodowej w lesie. Notatki te posłużą do dyskusyj, narad i wprowadzania ulepszeń, a nawet jako temat artykułów prasowych, przyniosą ożywienie wymiany myśli i zbliżenie pomiędzy współpracownikami — w rezultacie przysporzą dobra dla sprawy. Czy nie wartoby zastosować tego i na polu łowiectwa?

— W tym samym numerze znajdujemy ciekawy artykulik p. t. „Rola wiewiórki w lesie". Zdaniem autora, leśn. Jul. Wojewódzkiego, długoletniego obserwatora wiewiórki, jest to zwierzątko niewątpliwie szkodliwe — w lesie i łowiectwie. Znaczniejsze wytępienie wiewiórek w lasach, gdzie były nader liczne, daje wyniki przyrostu ptaków o 300% i więcej, a między innemi jarząbków i cietrzewi, wiewiórki bowiem są amatorkami ich jajek, a potrafią też wybierać i młode pisklęta. Autor służy przykładami z łowisk, w których czyniono eksperymenty z wiewiórkami i obserwowano ich życie.

— „Echa leśne" Nr. 12 (grudzień 1933 r.) ogłaszają konkurs na prace popularne z zakresu leśnictwa dla celów propagandowych. W rozwinięciu 4-ch zadanych tematów, a wśród nich: to co daje las, — niema ani słowa o łowiectwie, pszczelnictwie i rybołóstwie. A czyż zwłaszcza łowiectwo nie jest raz na zawsze związane z lasami i nie stanowi ich dodatkowego bogactwa w postaci zwierzyny?

— W Nr. 23 „Łowca" lwowskiego p. L. Pac-Pomarnacki daje doskonale napisany artykuł, zawierający miniaturę monografji wrony. Na końcu tej pracy, ujętej w formę literacką, uderza nagle niemiły — dla doświadczonego myśliwego-hodowcy — zgrzyt. Autor broni wrony przed skazaniem jej przez prawo łowieckie na możliwość całorocznego tępienia. Szanując humanitaryzm na każdym kroku i uważając go zasadniczo za obowiązek człowieka wobec wszelkich tworów przyrody, z punktu widzenia łowieckiego nie możemy się pogodzić z takiem ujęciem sprawy, żeby wrona — jak chce autor — „przynosiła korzyść łowiectwu".

„Uprząta padlinę" — ależ czy jej bywa aż tak wiele w łowisku, że nie uczynią tego same chociażby mrówki i inne owady — bez wrony?

A co do selekcji w zwierzostanie, to wybaczy Sz. Autor, ale myśliwi zrzekają się tej wroniej pomocy — selekcję przeprowadzą sami, dopomogą do tego „inne drapieżniki", a jaj i piskląt naszych ptaków łownych, których wrona jest nadzwyczajną tępicielką, nie posiadamy na zbycie, ani nie chcemy poddawać również wroniej „selekcji".

Pozatem zwrócić musimy uwagę, p. Pac-Pomarnackiego, że wron myśliwi nie chcą (i nie mogą!) wytępić całkowicie, ale muszą odstrzeliwać ich zbyt wielki nadmiar. Natomiast prawo łowieckie „wskazań tępienia wrony" bynajmniej nie daje. Daje tylko, gdzie zachodzi tego potrzeba, swobodną rękę w działaniu przeciwko tej pladze rewirów hodowlanych, zwłaszcza ptasich.

WUZET.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dn. 11 i 12 grudnia r. z. odbyło się dwudniowe polowanie w maj. Tuzew (powiat kościański). Ogółem padło 919 sztuk, z czego 849 zajęcy, 60 bażantów, 10 królików. Obecni pp. Kajetan, Edward i Stanisław Morawscy, Henryk Chłapowski, Jan Górski, Marcin Popiel, Marceli hr. Żółtowski, Emeryk, Kazimierz i Wojciech Mańkowscy, J. Smulkowski i Henryk hr. Tyszkiewicz. Najwięcej zabił p. Marcin Popiel (113). Polowanie prowadził nadzwyczaj sprawnie i umiejętnie właściciel, p. Krzysztof Morawski. Padłoby jeszcze więcej, lecz uprzednio polowano w listopadzie na bażanty i zabito w 8 strzelb — 185 kogutów.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI

W styczniu polować wolno:

przez cały styczeń: na wilki, dziki, żbiki, lisy, kuny leśne (tumaki), i norki, kuny kamionki, wiewiórki, zające, bielaki, cietrzewie-koguty, jarząbki, pardwy, bażanty-koguty, dzikie indyki-samce, słonki, dzikie kaczki, oraz inne ptaki wodne i błotne, dzikie łabędzie, dzikie gęsi, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty, ptaki krukowate i drapieżne;

do 14 stycznia: na niedźwiedzie, rysie, zające-szaraki;

od 16 stycznia: na sarny-kozy, łanie jeleni i danieli w celach selekcyjnych.

Wymienione daty należy rozumieć włącznie.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28 — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI I FABRYKA AMUNICJI W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17

poleca

znakomite bezdymne naboje śrutowe własnego wyrobu.

Ceny nabojów i dubeltówek zostały znacznie zniżone.

ODDZIAŁY:

POZNAŃ Gwarna 12 — LWÓW Pl. Marjacki 4 — WILNO Wileńska 10

Żywe zające, kuropatwy i bażanty dla celów odświeżenia krwi

Sprzedaje

S. Kamocki, Warszawa, Chmielna 34

tel. 612-48.

Buty myśliwskie

poleca istniejąca od 1901 roku

firma **A. Chmielnicki**

w Warszawie ul. Długa 43 tel. 11-77-84.

Ceny przystępne!

OZNAKI

„STRAŻNIK ŁOWIECKI"

z opaskami w cenie zł. 6.00 za sztukę

poleca:

Administracja „Łowca Polskiego", Warszawa, N-Świat 35

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY

TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 639-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

JAKÓB MAREK

MAGAZYN OBUWIA

Warszawa, Bielańska 22

TELEFON 12-16-05

Rok założenia 1869

POLECA

BUTY MYŚLIWSKIE



OGŁOSZENIA DROBNE

Amatorska Hodowla „Airedale"Szkockich i Sealyham Terrierów „Altesse", właściciel Leon Lamla, Knurów Śląsk oddaje szczenięta najszlachetniejszej krwi po reproduktorach o międzynarodowej sławie. Rodowody uznane przez Międzynarodową Federację Kynologiczną. Ceny 150 do 200 złotych.

Autor licznych prac, drukowanych w „Łowcu Polskim", poszukuje posady łowczego na Polesiu lub Podkarpaciu. Referencje na żądanie. Łaskawe oferty uprzejmie proszę zgłaszać do „Łowca Polskiego" sub. O. P.-S.

Bażanty żywe, pierwszorzędny materjał hodowlany, po niskich cenach poleca Nadleśnictwo Miłosław, powiat Września. Przy większych zamówieniach znaczny rabat.

Żywe puhacze do polowania, jak również żywe głuszce i cietrzewie, a także wszelkie rodzaje żywej zwierzyny do chowu i odświeżania krwi dostarcza Eduard Mayer — Wildexport, Wiener Neustadt (Austrja).

Żywą zwierzynę do odświeżania krwi. **Nasiona i sadzonki** roślin pastewnych na remizy. **Sadzonki** leśne dostarcza Zarząd Lasów XX Czartoryskich Nadleśnictwo **Babki** poczta **Krzesiny** Wielkopolska. Bezpłatne cenniki.

JUŻ WYSZEDŁ Z DRUKU

KALENDARZ MYŚLIWSKI

NA ROK 1934

oprawiony w płótno ze złoceniami — **KALENDARZ** ten zawiera prawo łowieckie, fachowe wskazówki hodowlane i informacje z zakresu łowiectwa, obowiązujące przepisy prawne, niezbędne dla myśliwych, tabele czasów ochronnych, opracowane na podstawie ostatnich rozporządzeń, oraz informacje organizacyjne, handlowe, wreszcie dane opracowane przez WŁODZIMIERZA KORSAKA o zwierzynie łownej w Polsce p. t.

„MYŚLISTWO POLSKIE".

Cena egzemplarza zł. 3.—

Aby uniknąć niewspółmiernie wysokiego kosztu zaliczenia pocztowego, wpłaty należy dokonać jednocześnie z zamówieniem Kalendarza, na konto P. K. O Nr. 6,082 w kwocie zł. 3.— plus koszty przesyłki groszy 30.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Warszawa, ul. Nowy-Świat Nr. 35 tel. 607-98.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.